Nr. 46. Poznań, Niedziela 11-go Listopada 1900 r. Rok IV.

PRACA
Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 markę; na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent.
Pod opaską: w Niemczech 1,65 mr., w Austro-Węgrzech 1 ztr., za Oceanem 1 dolar.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Od Redakcyi.

Zamierzając przygotować specyalny numer „Pracy", poświęcony wyłącznie Polakom na obczyźnie, a mianowicie w obrębie Niemiec, i chcąc, aby ten numer przedstawiał trwałą wartość dla wszystkich towarzystw naszych na obczyźnie. prosimy, aby na razie, wszystkie towarzystwa polskie na obczyźnie raczyły podać nam przynajmniej swój adres, a my przeszlemy im kwestyonaryusz z prośbą o wypełnienie pytań.

Prośbę tę zwracamy nietylko do zarządów towarzystw, lecz i do osób prywatnych, aby doniosły nam o istnieniu każdego towarzystwa, gdyż może nie wszystkie abonują „Pracę". Naturalnie nietylko adres, ale i dłuższe listy są nam pożądane.

Do Czytelników.

Usiłowania przyjaciół naszego pisma nie były bezskuteczne. W tym nowym kwartale nietylko wszyscy jak jeden mąż stawili się na nowo do abonamentu, ale zachęcili cały szereg nowych czytelników, dając tem samem dowód najlepszy, że potrafią ocenić nasze usiłowania i pomocy nam nie odmawiają.

Dziś „Praca" zyskała sobie stałych — licznych zwolenników we wszystkich warstwach społecznych naszego zaboru. I po dworkach ziemiaństwa naszego wiejskiego, i w zagrodach włościańskich jednakowo życzliwie bywa witana. I stan rzemieślniczy, i kupiecki, i liczne warstwy roboczego ludu pozostają z nami w stałej zażyłej styczności, dzieląc się swemi uwagami, dając wskazówki, korespondując z naszą redakcyą, jak z dawien dawna znanym przyjacielem. Rodacy na obczyźnie starają się też „Pracę" rozszerzać ile możności, bo przez nią pozostają w styczności z całem społeczeństwem, wśród którego pozostawili swe serce i ku któremu biegną z obczyzny ich myśli. Inteligencya miejska w ostatnich czasach zwłaszcza zaczęła pismo nasze pilnie czytywać, w licznych listach dając wyraz swemu solidaryzowaniu się z dążnościami, których jesteśmy wyrazem.

Stały wzrost liczby naszych czytelników jest nam bodźcem do dalszej pracy, którą prowadzić będziemy z niezłomną energią, bez względu na piętrzące się trudności.

Radzibyśmy, aby nasza młodzież akademicka w większym, niż dotychczas stopniu utrzymywała z naszem pismem stosunki i starać się o to będziemy, pomieszczając w najbliższym czasie artykuły i korespondencye z warstw naszej młodzieży szkół wyższych.

Ze strony naszego Szanownego Duchowieństwa doznaliśmy w ubiegłym kwartale niejednej pomocy i zachęty.

Za poparcie przesyłamy wszystkim przyjaciołom naszego pisma słowa szczerej podzięki. Wraz z naszymi czytelnikami — walczymy wszyscy w imię dobrej sprawy. Prusaków już kole w oczy rozwój naszej prasy, oburza ich to, że pisma polskie nie chylą kornie głowy przed ich potęgą, lecz prawdę w oczy bezwzględnie mówią — i dlatego starają się ukuć nowe prawa wyjątkowe przeciw polskim gazetom.

Czytelnicy! zjednywajcie coraz to nowych abonentów, gdyż niebawem może przemoc odetnie nam i Wam możność otwartego szerzenia naszych wpływów. A tym, co już nam nowych czytelników zjednali — dzięki przesyła

„Praca".

W imię obowiązku.

W imię obowiązku obywatelskiego i patryotycznego zwracamy się dzisiaj do wszystkich naszych Czytelników i Przyjaciół w okręgu babimojsko-międzyrzeckim, aby rozwinęli energiczną agitacyę za naszym kandydatem,

p. mecenasem B. Chrzanowskim.

Wybory odbędą się 14 listopada — a więc kilka dni jeszcze tylko dzieli nas od stanowczej chwili. W ostatniej niemal godzinie apeluje do was, wyborcy polscy okręgu babimojsko-międzyrzeckiego, całe spo

łeczeństwo nasze i spodziewa się, że wszyscy spełnicie swój obowiązek!

Tu chodzi o coś więcej niż o sam wybór

pana Bernarda Chrzanowskiego

na posła! *Tu chodzi o zamanifestowanie rządowi jednego, niepodzielnego i zgodnego głosu oburzenia,* jakie przejmuje serca wszystkich Polaków wobec polityki, co dzieciom naszym język ojców chce wydrzeć.

Tu chodzi o to, aby ten rząd, co sądzi — oparty na mocy swych bagnetów i haniebnie zerwanych przyrzeczeń — że jest panem serc polskich, — aby ten rząd przekonał się, że *przecież wola ludu polskiego jest dość silną* i jednolitą i jest w stanie przeprowadzić na posła Polaka tam, gdzie dotychczas jeszcze Polak nie przechodził.

A więc dalej, wyborcy, do dzieła! Niech wam podnietą do pracy będzie całe to oburzenie, jakie przepełnia serca wasze wobec rozporządzeń Studta, wobec kar więziennych za nauczanie języka polskiego, wobec upokorzenia, jakie brutalna dłoń pruska zadaje naszemu duchowieństwu, decydując o nauce religii bez jego wiedzy i pomimo jego woli.

To wszystko niech wam będzie na oczach! Wspomnijcie sobie każdy, ile to matek Polek — sióstr i żon waszych — gorzkiemi łzami płakało nad tem, że ich dziatki z musu *Vater unser* mówią. Pamiętajcie o tem, a głos sumienia nietylko wam samym nakaże oddać kartkę wyborczą

na kandydata naszego,

p. Bernarda Chrzanowskiego,

ale wam doda sił do rozbudzenia tylu śpiących i obojętnych.

Otucha niech wstąpi w serca wasze, pracujcie nad zwycięztwem, a nadzieja zwycięztwa się ziści.

„Praca.“

Nieczyste sprawki.

„Sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych, pan Posadowsky-Wehner, niesłychanie skompromitował siebie i swój urząd“ — temi słowy rozpoczyna jeden z poważnych organów niemieckich artykuł o sprawie, która była przyczyną tej kompromitacyi.

Aby nas nikt nie posądził, że, korzystając z wybornej zresztą okazyi, dobieramy jaskrawych słów, aby zachwiać powagę i zaufanie do urzędniczego stanu niemieckiego, ograniczymy się poniżej do suchego przedstawienia kwestyi i przytoczymy potem znamienne głosy gazet niemieckich, z których jedne posądzają najwyższych urzędników niemal o korupcyę, o przekupstwo, — drugie zaś (np. „Germania“) broniąc ich, twierdzi, że to *tylko* bezdenna polityczna głupota — — —

Przypatrzmy się więc tym sprawkom.

Pamiętają zapewne nasi Czytelnicy, że przed paru laty cesarz Wilhelm w Oeynhausen wygłosił piorunującą mowę przeciw robotnikom strejkującym i zapowiedział, że wyda prawo, na mocy którego za urządzanie strejków sądy będą karać domem karnym. Mowa ta, o której twierdzili wtajemniczeni, że nie była znana odpowiedzialnemu za rządy kanclerzowi państwa, natomiast, że powstała pod wpływem przemysłowców nadreńskich, zrobiła wielkie wrażenie. Powszechnie sobie mówiono: Przecież prócz rządu jest parlament, który takiego prawa nie dopuści!

To też usposobienie dla nowego projektu było wielce nieprzychylne.

Lecz pomimo to urząd spraw wewnętrznych, z hr. Posadowsky'm na czele, rozwinął kolosalną agitacyę pomiędzy ludnością, w prasie i pomiędzy posłami, aby tylko przeprowadzić prawo zapowiedziane słowem cesarskiem. Rozrzucano masami broszury o potrzebie takiego prawa przeciw robotnikom, dowodzono, że „biedni“ przemysłowcy niemieccy w rodzaju Kruppa z Essen, lub właścicieli wielkich kopalń i hut żelaza muszą mieć obronę przed zmowami, bo chyba zbankrutują — szereg gazet dawniej liberalnych nagle zmienił barwę i zaczął agitować w myśl projektowanej ustawy — ba, nawet szereg wędrownych mówców znalazł się skądciś i zwoływał zgromadzenia, aby przekonać publiczność o potrzebie tego dzikiego prawa.

Zapytywano się wówczas powszechnie — skąd też idą na to wszystko pieniądze? Kto pokrywa koszta milionów broszurek agitacyjnych? Kto przekupił gazety, aby przychylnie dla rządu pisały? Kto opłaca wędrownych mówców?

I brakło odpowiedzi — bo w oficyalnie przedłożonym parlamentowi budżecie brakowało odnośnych pozycyi: rząd więc ani szeląga na ten cel, jakby się zdawało, nie wydał. —

Pojekt ustawy został pomimo tej agitacyi sromotnie odrzucony przez parlament — i było cicho.

Tymczasem przed paru dniami jedno z pism drezdeńskich ogłosiło autentyczny list sekretarza związku generalnego przemysłowców niemieckich, Buecka, w którym tenże stwierdza, że urząd spraw wewnętrznych „osobiście“ zwrócił się do niego z prośbą, aby związek przemysłowców dał 12 tysięcy marek na koszta agitacyi za przeprowadzeniem ustawy przeciw robotnikom. „To trochę niezwykłe żądanie — pisze p. Bueck — zostało uwzględnione i jeden z pierwszych, ekscelencya Krupp, złożył na ten cel 5 tys. mk.“

Po ogłoszeniu tego listu zrobiło się nagle cicho. Gazety rządowe milczały z przerażenia, że tę brudną sprawę wywleczono na światło dzienne, a gazety niezależne nie mogły się pogodzić z myślą, że urząd spraw wewnętrznych został zapłacony przez przemysłowców, aby przeprowadził prawo przeciw robotnikom.

Dopiero potem rozpoczęła się generalna dyskusya.

„Więc to prawda?“ pytano ze wszystkich stron hr. Posadowsky'ego. A on milczał, aż wreszcie jego organ, *„Berliner Correspondenz“*, doniósł, że istotnie to jest prawdą

i że owe 12 tysięcy marek poszły na koszta rozdawania broszur agitacyjnych. Tymczasem dobrze poinformowana lipska gazeta stwierdza, że wydział prasowy w ministerstwie byłby pokrył taką drobnostkę, gdyby te dwanaście tysięcy istotnie poszły na broszury — t. j. druk i papier. — — — Równocześnie daje do zrozumienia, że to może autor broszury, dyrektor ministeryalny Woedke, który sam zwrócił się do związku przemysłowców z propozycyą dania rządowi 12-stu tysięcy, wyasygnował sobie z tego honoraryum. — — —

Stoimy więc przed nagą prawdą: p. hr. Posadowsky otrzymuje 12 tysięcy marek od osób prywatnych za pośrednictwem swego pomocnika i to w tym celu, aby przeprowadził prawo, z którego ofiarodawcy mają korzystać. „W Stanach Zjednoczonych podobno za pieniądze można kupić połowę posłów i kazać im uchwalić prawo, jakie się komu podoba, choćby — że wszystkie koty mają chodzić w kagańcach. Ale o tych amerykańskich zwyczajach dotychczas w Niemczech nie wiedziano“, pisze „*Frankf. Ztg.*“ i zastanawia się nad tem, jakiegoby to gwałtu narobili wszyscy, gdyby się np. wykryło, że socyalistyczny minister Millerand we Francyi otrzymał, dajmy na to, sto tysięcy franków na to, aby przeprowadzić przeciwko właścicielom fabryk nowy ciężki podatek. A przecież w gruncie rzeczy postąpienie Milleranda nie byłoby inne niż postąpienie Posadowsky'ego.“ — —

„Postąpienie to urzędu spraw wewnętrznych jest — jak pisze *Frankf. Zeitung* — największem wykroczeniem, jakiego dopuścić się wogóle może jakikolwiek urząd. Jest to wykroczenie przeciw konstytucyi, bo rządowi nie wolno wydawać pieniędzy bez zdawania rachunku przed parlamentem, a w tym wypadku rząd nietylko nieprawnie wydał, ale nieprawnie przyjął obce pieniądze“.

I po tej aferze szanowny urząd spraw wewnętrznych nie myśli widocznie zmienić swych zwierzchników, bo hr. Posadowsky nie ustąpił ze swego stanowiska, kontentując się tem, że mu kilka gazet oświadczyło, iż „nie można wątpić w jego osobistą uczciwość (*persönliche Ehrenhaftigkeit*).“ To nieustąpienie ze stanowiska jest dla stosunków jeszcze charakterystyczniejsze, niż samo branie pieniędzy od prywatnych, które nie figurują w budżecie.

Pisze o tem cytowana powyżej *Frankf. Ztg.* w N. 295: „musimy oto z bólem patrzyć na to, że zachwiała się ufność w absolutną nienaganność *(Korrektheit)* prusko-niemieckich urzędników, których dotychczas jako przykład stawiano innym krajom“. — — —

Jakież my, Polacy, zająć mamy stanowisko wobec tych niebywałych przykładów złamania najpierwszego prawa konstytucyonalizmu t. j. prawa budżetowego, — wobec wyraźnej stronniczości urzędu spraw wewnętrznych, który sam zwraca się do zainteresowanych po pieniądze, obiecując przeprowadzić pożądane dla nich prawa?

Nasze stanowisko w tej sprawie jest nieco inne niż Prusaków. Gdybyśmy chcieli uważać się za obywateli tego państwa z duszy i serca, to byśmy razem z niemieckiemi gazetami musieli wyrazić ubolewanie nad tem — poniżeniem stanu urzędniczego. Ale my nie mamy pretensyi do tego stanowiska; my raczej wolimy głośno skonstatować, że osławiona nienaganność urzędników pruskich jest nieuchwytną chimerą, — i że to nas cieszy. Owszem cieszy nas, że tyle i tak ciężkie zarzuty uzasadnione spadły na tę biurokracyę, której rączkę delikatną czujemy oddawna na samych sobie. Cieszyć nas będzie każdy nowy objaw korupcyi, bo *my* za niego wstydzić się nie potrzebujemy, owszem zyskujemy w ten sposób jeden punkt więcej do niezadowolenia z rządów pruskich.

A naszym posłom do parlamentu radzilibyśmy chyba, aby się zapytali w właściwem miejscu w dyskusyi nad tą sprawą, ile np. tysięcy marek złożyli w ofierze konserwatyści „na popieranie“ ustawy kolonizacyjnej? Ile też hakatyści „zapłacili na agitacyę“, gdy miał być wydany zakaz polskich towarzystw.

Na wszystko przecież musi być stosowna taksa w tak pięknie uporządkowanem państwie pruskiem! — Przytem wartoby się też zapytać, czy to hakatyści dają pieniądze na wydawanie w Poznaniu *tajnego* urzędowego pisma pt. *Gesammtüberblick über die polnische Tagesliteratur*, tygodnika, który rząd drukuje u Merzbacha w nakładzie blizko 300 egzemplarzy? Czy to z funduszów hakaty opłacany jest redaktor, opłaceni są tłómacze, papier i koszta administracyjne — bo w budżetowych rachunkach, przedkładanych parlamentowi wydatki te nie figurują. Wogóle metoda opłacania rządowi wydatków na przeprowadzenie jakiegoś prawa do ciekawych prowadzi wniosków i pytań. Radzibyśmy np., aby posłowie nasi zapytali reprezentanta rządu, czy hakatyści już złożyli do dyspozycyi potrzebne sumy np. na agitacyę za prawem, mającem zabronić towarzystwom polskim na obczyźnie używać języka ojczystego, oraz czy do dyspozycyi ministra Studta może znowu hakatyści już złożyli jakie fundusze, aby przeprowadzić w sejmie naukę religii po niemiecku w całem Księstwie? Posłowie nasi może mogliby o tem delikatnie się dowiedzieć, skoro w budżecie te pozycye nie figurują. A może by się dało z naszej strony w społeczeństwie polskiem zrobić składkę powszechną, aby spłacić hakatystom wydane przez nich pieniądze i za tę cenę naszym biednym wychodźcom zapewnić wolność używania języka ojczystego?

Jak handel — to handel.

Przecież stary Bismark już o sobie ironicznie mówił, że jest „ein *ehrlicher* Makler!“

Vester.

Konstytucya
a prawa przeciwko Polakom.

Od kilkunastu dni rozchodzą się w pośród społeczeństwa naszego, w całych Niemczech i już da-

leko po za granicami niemieckiego cesarstwa głuche, niepewne wieści o nowych prawach antypolskich, któremi królewsko-pruski rząd w swej macoszej dobrotliwości ma w najbliższym czasie nas obdarzyć, by niemi tem dosadniej i boleśniej ugodzić w naszą polską duszę. Pierwszy podał tę wiadomość żydowski „Berliner Tageblatt“ w korespondencyi z Poznania; za nim powtórzył ją „Vorwärts“, organ socyalnej demokracyi w Niemczech, a w ślad za nimi umieszczały te sensacyjne wieści wszystkie gazety niemieckie, dodając do nich stosowne do swego kierunku uwagi. Pisma nieprzyjazne rządowi, nazywały te wiadomości tatarskiemi, nie wszystkie przeczyły jednakże możliwości stwierdzenia się ich, mówiąc, że w państwie rządzącem się etyką — Hunnów wszystko jest dzisiaj możliwe. Jako też ze strony urzędowej nie ukazało się dotąd stanowcze „Dementi“ czyli zaprzeczenie tych niepokojących, strasznych pogłosek; więc w kraju naszym, wśród ludności naszej popłoch i wzburzenie wzmaga się i rośnie, a równocześnie rośnie zaufanie(!) i sympatya(!!) do tego systemu pruskiego, który zamierza nas żyłować.

Trudno dzisiaj wiedzieć, ile w pogłoskach tych jest prawdy, trudno stwierdzić, czy system pruski połączył się istotnie z hersztami hakatyzmu, czy wszedł w braterski sojusz przeciwko nam i ma już gotowe nowe środki wedle ich sądu zabójcze dla nas; nie będziemy przeto łamali sobie głowy nad rozwiązaniem zagadek, a będziemy się natomiast starali na zasadzie konstytucyi Rzeszy niemieckiej i na zasadzie ustawy pruskiej wyjaśnić: czy i o ile przeprowadzenie takich środków niszczących nas jest możliwem w dzisiejszem królestwie pruskiem, należącem do Rzeszy Niemieckiej.

Środkami, któremi system pruski na spółkę z hakatystami chce nas obecnie niemczyć i pruszczyć, mają być: *ograniczenie lub zupełne zniesienie prasy polskiej, odebranie nam prawa stowarzyszania się, zamknięcie teatru polskiego w Poznaniu.* Wierzę, że takie skneblowanie nas może być gorącem żądaniem zacietrzewionych hakatystów i marzeniem w bezsennych nocach ludzi chorych na wściekliznę antypolską; już teraz wsłuchują się pewno ci pacyenci z lubością w tę przyszłą głuchą ciszę, jaka by na niwach naszych zaległa; lecz niechże pamiętają, że nie byłaby to cisza cmentarza, ale złowroga cisza wulkanu — w którego wnętrzu wrzałoby i kotłowało... Lecz nie sięgajmy wzrokiem w daleką, niepewną przyszłość, a rozstrzygnijmy, czy rząd pruski i hakatyści mogliby konstytucyą niemiecką związani, takie prawa wyjątkowe przeciwko nam przeprowadzić.

1). Czy mogą znieść lub ograniczyć prasę polską?

Artykuł 27. ustawy pruskiej orzeka: *Każdy pruski poddany ma prawo słowem, pismem, drukiem i illustracyą swobodnie sąd swój wyrazić.*

To prawo jest do dzisiaj obowiązujące w całych Prusiech; ograniczyć nie wolno go inaczej jak tylko w drodze prawodawstwa; prawodawstwo prasowe należy zaś do Rzeszy Niemieckiej, jak to artykuł 4 konstytucyi niemieckiej stwierdza. Artykuł ten zawiera wszystkie sprawy podlegające kontroli Rzeszy i jej prawodawstwu i wymienia jako takie pod liczbą 16: *prawa dotyczące prasy i towarzystw.*

Ażeby więc ustanowić prawa ograniczające lub zgoła znoszące prasę polską, panowie hakatyści musieliby wniosek odnośny stawić nie w sejmie pruskim, w którym obecnie absolutnie rządzą, ale w parlamencie niemieckim, w którym w obec centrum, socyalistów i innych stronnictw stanowią nic nie znaczącą mniejszość. Każdy wie dobrze z góry, że wniosek taki skutkiem opozycyi, mianowicie centrum i socyalistów nigdyby w parlamencie niemieckim nie przeszedł; więc też panowie hakatyści o forsowanie go nie będą się wcale kusili. Pod tym względem możemy być spokojni; dopóki sprawa jest z parlamentem niemieckim to nasza w tym razie wygrana; boć to nie wszyscy Niemcy, a tylko Prusacy zatracili wobec nas wszelkie poczucie etyczne i poczucie sprawiedliwości.

2). Czy mogą poznosić towarzystwa polskie i odebrać nam prawo stowarzyszania się?

Artykuł 30 ustawy pruskiej opiewa: *Wszyscy pruscy poddani mają prawo łączyć się w towarzystwa, w celach, które się nie sprzeciwiają prawu karnemu.*

Na zasadzie tego artykułu istnieją do dzisiaj wszystkie nasze towarzystwa i nie mogą ich rozwiązać. Czy mogliby samowolnie w Prusiech ograniczyć to prawo i zabronić nam kojarzenia się w towarzystwa polskie? Nie mogą; — bo przytoczony już powyżej artykuł 4 konstytucyi niemieckiej zastrzegł pod liczbą 16 Rzeszy niemieckiej prawodawstwo dotyczące towarzystw. Więc na zasadzie powyżej już raz przeprowadzonego rozumowania i pod tym względem nic nam grozić nie może. Istnienie towarzystw polskich jest konstytucyą niemiecką zabezpieczone.

Czy mogą zamknąć nam nasz teatr polski w Poznaniu?

Dotychczasowe przedstawienia w teatrze polskim odbywały się na zasadzie artykułu 29-go ustawy pruskiej; a ten brzmi:

Wszyscy pruscy poddani mają prawo gromadzić się spokojnie, bez broni, w zamkniętej przestrzeni, bez poprzedniego pozwolenia.

Konstytucya niemiecka pod tym względem wyraźnie nic nie orzeka; zastrzega sobie jednakże pod liczbą 13 przytoczonego już wyżej artykułu 4-go *wspólne prawodawstwo w dziedzinie całego prawa obywatelskiego* (bürgerliches Recht). Że zaś artykuł 29 ustawy pruskiej o wolności zgromadzania się podpada właśnie pod prawo obywatelskie, więc i tutaj, póki trwać konstytucyi niemieckiej a z nią stać niemieckiej Rzeszy, póty i słowu polskiemu w murach teatru naszego rozbrzmiewać!

Oby tylko zawsze byli chętni

coby go słuchali, oby tylko słowo to nie rozbrzmiewało w pustej sali, jak się to tak często zdarza w tym ospałym i gnuśnym Poznaniu!

Tak więc, zdaniem mojem, przy bliższem rozpatrzeniu te straszne, alarmujące wieści wydają się istotnie i przedstawiają się jako strachy na Lachy. Mogły się one wyrodzić w chorej mózgownicy jakiegoś hakatysty nieszczęśliwego, ale nie nas dzisiaj niemi straszyć! Jesteśmy dzisiaj poddanymi pruskimi, współobywatelami Rzeszy niemieckiej i wiemy dobrze, co nam się jako takim należy. Wiemy też, że system i naród pruski nie przebierałby dzisiaj w środkach, żeby nam nasz mózg polski wyżreć z pod czaszki i krew polską z żył wyssać. Ale trudno, my nie chcemy się poddać takiej bolesnej wiwisekcyi... Ciężkie przechodził katusze naród nasz pod rosyjskim caratem i ciężkie pod pruskiem jarzmem. W ostatnich czasach przejmuje się u nas to przekonanie, że niczem Sybir i niczem knuty moskiewskie, w obec tych moralnych męczarni, przez jakie nas system pruski przepędza.

Trudno tu jedne cierpienia drugiemi ważyć i patrzyć, które cięższe. Na jedno trzeba jednakże zwrócić uwagę: to, co znosimy w rosyjskim zaborze, znosimy to z rąk wyłącznie rządu moskiewskiego i nie możemy za to czynić odpowiedzialnym całego pobratymczego nam narodu rosyjskiego; tam zostaje zawsze nadzieja, że ze zmianą rządu, ze zmianą osobistości przyjdą dla nas lepsze czasy. Tutaj zaś w Prusiech gnębi nas i prześladuje nie system tylko, ale cały naród pruski, rozszalały przeciwko nam. W tem tkwi walna, potężna różnica i z tego punktu widzenia trzeba nasze cierpienia i męki tu i tam ponoszone rozpatrywać i oceniać.

Narzuca się mi wobec tego w tej chwili pytanie, kto to jest właściwie ten Prusak, co to za naród ten pruski, który dzisiaj chciałby nas zdmuchnąć ze ziemi? Na to, pozwólcie, bym wam za tydzień odpowiedział; przypomnę tylko rzeczy wszystkim dobrze znane.

Poznańczyk.

Pod adresem pań naszych.

Wielce Szanowna Redakcyo „Pracy!"

Zechciej w łamach swego pisma umieścić następujących słów kilka od wiernej czytelniczki „Pracy":

Samopomoc Vestera, odnosząca się do ogółu społeczeństwa polskiego, swojemi trafnemi uwagami zjednała sobie niejedno serce Polki czytającej Waszą „Pracę." Vester co prawda odzywa się do ogółu, lecz ja jako Wielkopolanka czuję się zobowiązaną odezwać się choć nieudolnie do naszych pań i matek Polek.

O paniach magnatkach, zaliczających się do arystokracyi naszej, nie wiele mówić można, o niejednem lepiej zamilczeć. Zapytajmy się n. p. gdzie przepędzają te panie sezon latowy, a mimowoli musimy sobie odpowiedzieć, że pod błękitem włoskiego nieba, w Manheim, Ostendzie, Misdroy lub Kołobrzegu. Dla nich nie istnieją Ciechocinek, Zakopane, Iwonicz lub inne nasze okolice, bo to za małe, za nudne, bo to polskie. Tam nie można imponować cudzoziemcom ani strojami, ani wyrzucaniem pieniędzy. Zapytajmy się, gdzie kupują swoją garderobę te panie, a magazyny w Berlinie, w Paryżu lub Wiedniu udzielą nam pożądanej odpowiedzi. Że prawie w każdem już mieście znajduje się w tej branży rodak, o tem panie te zapominają, a gdy i ten im nie wystarczy wspierajmy swoich w Poznaniu, Gnieźnie, Inowrocławiu lub Ostrowie, dajmy przynajmniej tym Polakom zarobić tych kilka groszy procentu, płaćmy gotówką, a pomnożymy tymże kapitał obrotowy. — Zamiast czytać jakąś powieść francuską lub angielską, lepiejby panie czas swój wypełniły, ucząc dzieci ojczystego języka, wpajając w nie ducha narodowego, a wreszcie interesując się gospodarstwem domowem. Niech zapytają się służby, gdzie kupuje cukier, kawę i t. p. rzeczy, ręczę, że nie u swoich. Niejedna z tych pań dowiedziałaby się, że przez tyle, a tyle lat popierała innowierców.

Co prawda przyznać muszę, iż u nas konstatuje się na tem polu pewien pocieszający postęp. Panie niejedne odmawiają sobie tego i owego, gdy nie mogą potrzeb swych kupić u swego, aby tylko nie bogacić naszych wrogów.

Spotkać można również pomiędzy arystokratkami panie, które bez wszelkiego rozgłosu pracują i działają dla dobra biednego naszego społeczeństwa, lecz tych pań niestety bardzo tylko maluczko. Drugie co prawda także wspierają nasze społeczeństwo, bo urządzają szumne bale i bazary na cele dobroczynne, obdarzają nawet różne towarzystwa hojnemi datkami.

Nie urządzajmy tych szumnych tak zwanych szlacheckich balów, bo na tych tylko wrogowie zarabiają, bawmy się skromnie, wspólnie odwiedzając się bawmy się w domu, tam wolno nam przynajmniej omawiać nasze sprawy żywotne. Działajmy cicho bez rozgłosu, niech lewica nie wie, co czyni prawica.

Przypatrzmy się bliżej naszej miejskiej inteligencyi. Niech mi będzie wolno i do tejże się słowy kilkoma odezwać! Wciąż to widzimy i słyszymy, że większość tych pań za mało popiera przemysł i kupiectwo nasze. Świętym naszym obowiązkiem jest moje panie, dziś kiedy nam wszystko wydzierają, kiedy nas chcą siłą materyalną wytępić, tylko kupować u swoich. Zatrudniajmy w domu i po za domem tylko swoich, naśladujmy na tem polu pobratymców naszych Czechów. „Swój dla swego" niech będzie zawsze naszą dewizą, a owoce tej naszej dobrej woli i chęci będą odpowiedzią na zjazdy ministrów, na wszelkie kary, na wszelką pracę nam wrogą. Pamiętajmy, moje panie, tylko o składach naszych braci, bo gwiazdka przed drzwiami. Nie sprowadzajmy różnych materyi i płótna, kawy, herbaty i wełny gdzieś zdaleka, a wyprawy dla naszych córek nie kupujmy gdzie indziej, jak n swoich!

Są co prawda pomiędzy naszemi paniami i bardzo oszczędne i obrachowane panie gospodynie. Dobra to zaiste rzecz być oszczędną, być obrachowaną, lecz trzeba wiedzieć jak i kiedy. Te panie tak bardzo liczące się z fenigiem, te właśnie grzeszą najbardziej, bo wpadając na cenniki, — któremi je codzień poczta zarzuca, — bogacą berlińskich i wrocławskich żydków, zapominając, że są Polkami, a że krzywdzą nasz polski przemysł i handel. Znam również panie, któreby absolutnie nie kupiły u swego, a dlaczego? Bo cukier ma być o $^1/_4$ feniga droższy, materya o 3 fenigi jak u Barascha. Czy która z tych pań zastanowiła się kiedy nad tem, że kupiec Polak pod trudniejszemi walczy warunkami pieniężnemi, aniżeli kupiec żyd, lub hakatysta?! O wiele łatwiej uzyskują ostatni 3 i 6 miesięczny kredyt, boć bióra kupiecko-informacyjne — tak zwani „Vertrauensmännery" znajdujący się w każdem prawie mieście nie polecają naszego jako pierwszego na dłuższy kredyt. Z powodu tego nie sprzedają wielkie domy towarowe resp. handlowe Polakowi inaczej, jak za zaliczką. Mamy na

to smutne dowody z Gniezna, gdzie śp. Otomańskiemu przez lat dziesięć podcinano w ten sposób kredyt, aż go wreszcie zrujnowano. Czyście się już moje panie, kupując u żydów, zastanowiły nad tem, w jaki sposób wasze kieszenie zostawają pokrzywdzone? Kontrolowałyście wy kiedy lub zawsze wasze rachunki, czyście wszystko dostały, co wam zapisano, lub co było zamówione? Mało która niestety z nas, moje panie, przegląda odbierane rachunki i waży kupione towary.

Przekonajcie się, siostry Polki, po przeczytaniu tych kilku słów, a może przyznacie mi wszelką racyą. Polki dbajcie o to, by wasze dzieci, wasza służba tylko wspierała swoich, świećcie całemu naszemu otoczeniu same dobrym przykładem, popierajcie tylko naszych braci, wpajajcie dzieciom poszanowanie wszystkiego co polskie, a i dla nich, gdy staną się samodzielne, będzie istniała ta dewiza „swój dla swego."

Nie zapominajcie, matki Polki, o nauce religii i świętej przeszłości naszej, uczcie dzieci na podręczniku J. Chociszewskiego naszych dziejów, dawajcie im do ręki ***naszą świetną „Pracę."*** Nie zapominajcie przy uroczystościach familijnych o składkach na Czytelnie ludowe, lub na Pomoc naukową. Składajcie małemi datkami, ale często na ten głód duchowy, nie odstraszając się niczem, a będzie to najskuteczniejsza odpowiedź na wszelkie antypolskie prawa. Otwórzcie wasze podwoje dla cór rzemieślników i przemysłowców, wy panie z lepszem wykształceniem i wychowaniem, zajmijcie się niemi, służcie im radą i pomocą, uświadomiajcie je wypożyczając im dzieła naszych wielkich poetów i pisarzy, a przysłużycie się niemało naszemu społeczeństwu.

„Pracy" wielce życzliwa

Wielkopolanka.

Z TYGODNIA.

We wstępnym artykule dzisiajszego numeru czytelnicy znajdą szczegółowy opis fatalnej afery z 12 tysiącami marek, która wszystkim urzędnikom niemieckim przyniosła niezwykły wstyd. Wiadomości tam podane uzupełniamy tylko szczegółami, dotyczącemi przewidywanej dymisyi hr. Posadowsky'ego.

Nadużycie popełnione przez urzędników ministeryum spraw wewnętrznych, którzy zażądali i wzięli od osób prywatnych 12,000 marek, aby rozpocząć w prasie agitacyę za projektem o „obronie pracy", wywołało wielką burzę. Sekretarz generalny związku przemysłowego, Bueck, oświadcza w liście, ogłoszonym przez pisma demokratyczne, iż sam sekretarz stanu, Posadowsky zwrócił się do niego z tem żądaniem. Cała prasa, z wyjątkiem półurzędowej, potępia stanowczo takie postępowanie i domaga się dymisyi Posadowsky'ego, oraz dyrektora wydziału do spraw wewnętrznych rzeszy, Woedtke'go. Nawet pisma konserwatywne wyrażają przekonanie, że sekretarz stanu skompromitował się tak bardzo, iż nie powinien pozostawać nadal na ważnym urzędzie. Wolnomyślne przenoszą cały zatarg na inne pole i oświadczają, że sposób załatwienia tej sprawy wyjaśni stanowisko hr. Bülow'a. Jeżeli nowy kanclerz rzeszy jest rzeczywiście człowiekiem energicznym i będzie chciał zreorganizować urząd kanclerski, a tem samem stosunki wewnętrzne, to hr. Posadowsky musi ustąpić; jeżeli pozostanie na swojem stanowisku, będzie to dowodziło, że Bülow będzie tak samo tylko malowanym kanclerzem jak ks. Hohenlohe, który podczas swego sześcioletniego urzędowania przedłożył parlamentowi ustawę „kneblową," „karną" i „przewrotową", a jakkolwiek żadna z nich nie przeszła, to przecież dał dowód, że jest potulnem narzędziem wyższej ręki.

Prasa rosyjska w pełnych złości artykułach przeciw Niemcom, zaznacza, że Niemcy przez zawarcie przymierza w sprawie chińskiej z Anglikami stanęli otwarcie przeciw Rosyi i że to może się mocno zemścić na całości cesarstwa niemieckiego.

Istotnie zawarcie ugody z Anglikami było jednym z największych błędów politycznych, na jakie wogóle „nowy kurs" mógł się zdobyć. Tradycyonalna polityka utrzymywania przyjaźni z Rosyą — dzięki czemu Prusy doszły do dzisiajszej potęgi — wzięła w łeb, a na jej miejsce przyszła polityka przyjaźni z Anglikami, którzy z Niemcami dzielą się tem, czego sami nie mają t. j. Chinami.

Dlatego też wolnomyślne gazety niemieckie przedrwiwają polityków niemieckich, którzy doprowadzili do tego przymierza, ponieważ niedawno temu Niemcy odgrażali się okropną zemstą Chińczykom, a dziś szukają pomocy Anglików, aby nie być osamotnieni. Nawet gazety konserwatywne, jak *„Hamb. Nachrichten"*, organ bismarkowski, piszą: „Co nas obchodzą Chiny? Z jakiej racyi mamy zagwarantowywać nienaruszalność Chin? Myśmy powinni pamiętać dobrze co ryzykujemy przez takie przymierza: w ostateczności rachunek za zawarcie przymierza z Anglią sprezentuje nam Rosya nad Wisłą, a Francya w Alzacyi."

Jasnem jest co organ bismarkowski przez to mniema: wskazuje on, że Niemcy weszły na taką drogę polityki, która prowadzi pruskie prowincye wschodnie, a więc Poznańskie i Śląsk i Prusy Zachodnie — prostym szlakiem pod berło rosyjskie.

Tymczasem układy z Chinami przeciągają się w nieskończoność. Waldersee na mapie odznacza sobie drogę, na której wznosić się będą jego tryumfalne bramy, jako dla pogromcy Wschodu, a stara cesarzowa chińska z całej Europy się śmieje.

Poseł francuzki, Pichon, donosi, że chorował przez kilka dni na febrę błotną, ale choroba nie przeszkadzała mu dowiadywać się o stanie układów z Chinami. Dodaje, że zdaniem lekarzy, stan jego zdrowia nie jest już groźny i niema żadnego niebezpieczeństwa. Wobec tej wiadomości, upada wyrażone przez pisma niemieckie i francuzkie podejrzenie, że Li-Hung-Czang, celem wywołania zwłoki w układach lub przeprowadzenia jakiejkolwiek intrygi, zawiadomił rząd francuzki o chorobie Pichon'a i prosił o zamianowanie innego pełnomocnika. Oświadczenie Pichon'a, że stan jego zdrowia „nie jest już groźny", dowodzi, że był niebezpieczny i przezorny Li-Hung-Czang miał powód do zaniepokojenia. Ile ta podejrzliwość przeciw Chińczykom, a mianowicie przeciw dworowi cesarskiemu i Li-Hung-Czangowi narobiła szkody, jak utrudnia zakończenie zatargu, tego z odległości nawet w przybliżeniu osądzić nie podobna. Można tylko stwierdzić fakt, że pomimo usilnych starań władz chińskich, układy pokojowe nie rozpoczęły się jeszcze.

Tymczasem w dzielnicach południowych położenie pogarsza się stale. Wojska cesarskie nie zdołają rozprószyć powstańców i przywrócić spokoju. Ruch rewolucyjny przybiera coraz więcej charakter wrogi dla dynastyi, a ponieważ sprzysiężeni obchodzą się bardzo dobrze z ludnością, nie podpalają miejscowości, które nie stawiają im czynnego oporu, nie mordują, ani nie łupią, i płacą nawet za żywność dostarczoną, liczba ich zwolenników powiększa się stale i powstanie ogarnia coraz większe przestrzenie.

Dość uzasadnione jest przypuszczenie, że rząd cesarski, który rozporządza w dzielnicach południowych stosunkowo bardzo wielkiemi siłami zbrojnemi, z wyrachowania nie występuje bardzo energicznie przeciw powstańcom. Można zrozumieć, że zwłoka w rozpoczęciu układów pokojowych wywołuje niepokój na dworze cesarskim i budzi tam podejrzenia, że mocarstwa nie pragną pokoju. Że takie podejrzenia tam istnieją, to zdaje się wynikać z nieustannych zbrojeń chińskich. Wojska cesarskie przyjmują coraz więcej ochotników, ćwiczą

się przy pomocy oficerów wydoskonalonych w służbie europejskiej, a rząd ściąga z całego kraju wielkie kapitały. Wygląda to tak, jak gdyby obawiał się nowej wojny i przygotowywał się do niej.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Wybory w okręgu babimojsko-międzyrzeckim za pasem: za kilka dni przekonamy się, czy w okręgu tym nie zbywa sprawie polskiej na pojmujących doniosłość wyborów szermierzach. Z wieców, które się odbyły w tym okręgu, można by wnosić, że nie wszyscy jeszcze Polacy tamtejsi wystarczająco zrozumieli potrzebę polityki opartej li tylko na własnych siłach naszego społeczeństwa.

O wiecu w Wolsztynie pisze **„Gazeta Ostrowska“**, że p. Michał Rucioch z tamtejszych okolic dał dowód wielkiej trzeźwości zapatrywań:

„Pokazał on rozum polityczny na zebraniu komitetów obu tych powiatów w Wolsztynie. Stawiano tam różnych kandydatów. Odzywały się tam także głosy za sojuszem Polaków z katolikami niemieckimi. Wtedy to wystąpił p. Michał Rucioch i zażądał stanowczo, ażeby przy wyborze kandydatów Polacy zajęli stanowisko polsko-narodowe. To też na późniejszem zebraniu w Zbąszyniu zgodzono się na następujące zasady: 1) powagę komitetów wyborczych zachować w zupełności i głosy oddawać na kandydatów przez komitet centralny ogłoszonych, 2) w obec katolików Niemców zachować stosunek, jaki wskazuje wspólność interesów katolickich, 3) urządzać wiece polityczne na stanowisku wyłącznie polskiem narodowem celem wzmocnienia w ludzie samodzielności narodowej i obywatelskiej.

„Wiemy dobrze, że i w naszym okręgu wyborczym są pomiędzy mieszczanami i włościanami tacy, co mają ten sam dojrzały rozum polityczny: brak im tylko tej odwagi obywatelskiej, jaką okazał p. Michał Rucioch.“

O godnem ze wszech miar uznania wystąpieniu p. Ruciocha zgodne relacye nadesłało nam kilku naszych korespondentów, zaznaczając przytem, że p. Rucioch jest stałym czytelnikiem naszego pisma. Bardzo nas ta wiadomość cieszy i spodziewamy się coraz częściej wieści, że czytelnicy „Pracy“ wszędzie i zawsze na publicznych wiecach występować będą z tą stanowczością i odwagą własnego przekonania, jakiej dowody dał p. Rucioch. Przy tej sposobności zwracamy uwagę Szan. komitetowi wyborczemu, który zapewne pomyśli o ożywieniu swego grona nowemi siłami, zdatnemi do pracy, aby przy pierwszej sposobności kooptował na członka swego p. Michała Ruciocha.

Obecne polityczne warunki naszego społeczeństwa coraz częściej każą się zwracać ku warstwom ludowym, jako ku tej sferze, z której wyjdzie z czasem samorodna, pełna siły do walki politycznej, klasa inteligentna.

Mamy dowód na Czechach, których byt przez czas długi opierał się wyłącznie na tych warstwach ludowych, a z nich wytworzyły się z czasem pełne siły warstwy wyższe. Ten sam objaw dostrzegamy i na Śląsku.

Tem bardziej też powinniśmy ufać w niedorzeczność wysiłków germanizacyjnych naszych wrogów, a sposobić się do tego, aby budować przyszłość na klasach najbardziej opornych wobec wynarodowienia.

Mamy przecież dowód w historyi ościennego Ślązka, niegdyś austryackiego, a później pruskiego, że i gorsze od dzisiajszych wysiłki germanizacyjne w niwecz się obracają.

Niedawno w jednym z feljetonów **„Dzien. Pozn.“** znaleźliśmy poniższy trafny szkic odrodzenia narodowego Ślązka:

„Z bezwzględnością i systematycznością rzucił się Fryderyk II na tę na Austryi zdobytą ziemię ślązką, próbując ją zniemczyć i w ten sposób zniwelować ją z resztą prowincyi królestwa pruskiego. Wydał on cały szereg przepisów radykalnych. Zakazał między innemi księżom, by nie dawali ślubów nikomu, ktoby nie umiał po niemiecku. Wszystkie urzędy były przystępne tylko Niemcom. Nawet stróż nocny musiał być Niemcem. Oficerów katolickich wysyłał do innych prowincyi, a Ślązakom nasyłał protestantów, zmuszając ich do małżeństw mięszanych.

„Szczęściem dla Ślązka umarł król „filozof“ po tych prawach niefilozoficznych, a jego następcy, zajęci sprawami ważniejszemi, nie mieli czasu do wykonania testamentu bezwzględnego władcy.

„Dopiero w czasach najnowszych, kiedy po zaprowadzeniu konstytucyi przestał być lud martwą literą w planach politycznych, kiedy od głosu najtrudniejszego robotnika zależy wybór posła, zwróciły znów władze pruskie baczną uwagę na lud ślązki. Boć to prawie milion ludności, a więc siła, z którą trzeba się liczyć.

„Zwyczajem swoim zabrały się znów Prusy do roboty. Chodziło przedewszystkiem o to, ażeby żywioł słowiański zohydzić. Więc każdy urzędnik, począwszy od sędziego na sądzie, a skończywszy na ostatnim policyancie, wyśmiewał, poniżał, upokarzał chłopa górnośląskiego. Język jego rodzinny był „narzędziem barbarzyńców“ a on sam „proletaryuszem“, głupiem bydlęciem.

„Gdy się rozważy, że Górnoślązak nie słyszał w istocie „pana“ mówiącego po polsku, że dziedzic, ekonom, nauczyciel, mieszczanin, każdy słowem, co nosił surdut, wogóle mówił po niemiecku, nie trudno się domyślić skuteczności owej broni. Łatwo bowiem musiało się wyrobić mniemanie, że niemczyzna jest czemś lepszem, skoro daje prawo do urzędów i wyższych stanowisk społecznych. I wyrodziło się w istocie takie mniemanie. Mieszczanin górnośląski chełpił się znajomością języka niemieckiego, tak samo ksiądz i nauczyciel, rekrutujący się głównie z chłopów. Nie słyszeli wprawdzie ci „inteligentni“ w domu ani słówka po niemiecku, lecz w szkołach naopowiadano im tyle o wyższości szczepu germańskiego, iż w końcu uwierzyli.

„Równocześnie jednak i równolegle z silniejszem parciem germanizatorów pruskich budził się, szedł, rozwijał się, rósł szybko inny ruch, którego się Niemcy nie spodziewali. Ta pogardliwa bezwzględność niemiecka wywołuje w takich razach zwykłą reakcyą, przeciwdziałanie. Tu i owdzie pomyślał sobie ten i ów polski Ślązak, śmielszy, samodzielniejszy, dlaczego poniewierają Niemcy to, co było radością, świętością moich Przodków, dlaczego ja mam gardzić koniecznie mową i wiarą Ojców moich.

„I ci śmielsi, samodzielniejsi Ślązacy rozpoczęli agitacyą zwróconą przeciw germanizatorskim zapędom.“

Obecnie już śmiało twierdzić można, że Śląsk przedstawia dla germańskich najeźdźców teren na zawsze utracony. Byleby tylko ruch narodowy i w prasie zyskał odpowiedni charakter stanowczy, a nie bojaźliwy i cofający się przed wszystkiem.

Pisze o tem **„Przegl. Wszechpolski.“**

„Wiadomo, że socyaliści na Górnym Szląsku przy ostatnich wyborach zyskali dwadzieścia kilka tysięcy głosów. Te głosy – jak sami socyaliści z początku to przyznawali, padły na ich kandydatów przeważnie dlatego, że narodowcy polscy kazali głosować robotnikom na znienawidzonych posłów z centrum, przeciw którym na krótki czas przed wyborami ostro występowali. Niektórzy znający stosunki miejscowe twierdzą nawet, że umyślnie ze strony polskiej agitacyi socyalistycznej nie przeszkadzano, żeby zastraszyć centrum wynikiem wyborów.

„Nad miarę ostrożna, właściwie lękliwa polityka przewódców ludu polskiego na Szląsku, jak nie przeszkodziła wzrostowi germanizacyi przez kościół, tak nie powstrzyma postępów agitacyi socyalistycznej. Ta polityka, której przedstawicielem jest „Katolik“, była w początkach ruchu narodowego zupełnie właściwą i wydała znakomite plony. Ale, jak zwykle bywa, ludzie, którzy pewną taktykę stosować zaczęli i, dzięki jej, dużo istotnie dokonali, tak się do jej wymagań wdrożyli, tak się z nią zrośli, że dziś, odczuwając bezwiednie lub nawet rozumiejąc konieczność innego działania w zmienionych warunkach, nie mogą odważyć się na nie, nie mogą znaleźć dla niego odpowiedniej formy. Bo dlatego właśnie, że przez czas długi z powodzeniem według swej taktyki działali, stali się rutynistami. Dziś dążenia ruchu narodowego na Śląsku wyprzedzają programy jego kierowników, dziś uczucia ludu śląskiego żywszem tętnem biją, niż uczucia tych, którzy w nim polskość budzili. Od kilku lat już nadszedł czas, żeby ruch ludowy górnośląski stał się ruchem narodowym polskim, bez żadnych zastrzeżeń, bez szkodliwych kompromisów z katolicyzmem niemieckim. Dziś upływa bodaj ostatni termin dokonania tej przemiany i jeżeli przewódcy narodowi na Górnym Śląsku nie podejmią inicyatywy, lud szukać zacznie i znajdzie sobie kierowników innych.“

W prasie galicyjskiej dość skąpo zaopatrywanej w wiadomości z naszej dzielnicy, od czasu do czasu pojawiają się artykuły o germanizacyi Polaków w Wielkopolsce, będące zazwyczaj przeróbką artykułów tutejszych pism polskich. A gdy się zjawi kiedy już artykuł oryginalny, to formalnie zdumiewa potworną nieznajomością naszych stosunków.

Taki artykuł znaleźliśmy w lwowskim **„Przeglądzie“**, dzienniku, który zazwyczaj

bardzo rzeczowe pomieszcza artykuły o Wielkopolsce. Pismo to zarzuca Wielkopolanom, że całe społeczeństwo nasze jest pod względem politycznym „roznerwowane“:

„Z jednej strony rozwinęła się niedobra skłonność do demonstrowania, które nigdy nic pożytecznego nie sprawia, a zawsze drażni i skupia nieprzyjaciół, z drugiej zaś strony — mnóstwo małych polskich pisemek, o których niegdyś „Germania“ trafnie powiedziała, że są największymi wrogami narodu polskiego, zaczęło pisać w tonie wyzywającym i bardzo impertynenckim. Taka demonstracya, jak zamierzone złożenie w muzeum wszystkich aktów sprawy Omańkowskiej, aby po wieczne czasy świadczyły o „pruskiem barbarzyństwie“, oczywiście nie zaszkodzi Prusakom a nam nie pomoże, w polityce zaś wszelkie czyny niepotrzebne są zawsze szkodliwe. Uwiecznienie błędu policyjnego, potępionego przez ogromną większość uczciwych Niemców, padnie cieniem na ich dobre imię, na imię całego narodu, musi więc być powszechnie w Niemczech uważane za dowód wrogiego usposobienia i musi w jednych obudzić niesmak, w innych urazę. Pocóż tedy przeciw sobie podnosić nawet tych, którzy, kochając swój naród i dbając o jego dobrą sławę, chętnie podaliby nam rękę, gdyby mogli? To samo można by powiedzieć o nader umiarkowanych i zjadliwych artykułach dziennikarskich. Być może, że rozgoryczone społeczeństwo chętnie czyta wymyślania na Niemców i że zatem takie pisma zdobywają sobie popularność, ale odrobina zastanowienia powinna je przekonać, że wyciągi z tych pism, robione dla cesarza, ministrów i gazet niemieckich, bynajmniej nie złagodzą zawziętości na nas, owszem ją powiększą, a ona, ciągle w ten sposób podsycana przez nas samych, będzie wzmagała ową wściekłość, która zachęca do tworzenia ustaw wyjątkowych. W bardzo bolesnem położeniu Wielkopolski, to bodaj jest najboleśniejszem, żeśmy sami zawinili — zaczynając od jątrzących mów Niegolewskiego, kończąc na nieszczęsnej manii demonstrowania i pisania w dziennikach tak wyzywająco i obraźliwie, jak nie pozwalają sobie prasy narodów nawet bardzo potężnych, gdy się poróżnią z innym narodem.“

No, Prusacy znaleźli opiekunów — — we Lwowie!

Zapewne tutajsze pisma niemieckie artykulik ten skwapliwie przetłomaczą?!

B. M.

Korespondencya specyalna „Pracy.“

Praga, 5-go listopada.

Mieszkając w mieście tylko 20 mil oddalonem od Pragi, w Zgorzelicach, miałem oddawna zamiar odwiedzenia stolicy naszych pobratymców. Wykonałem więc mą myśl, z czego jestem bardzo zadowolony.

Przejechawszy granicę Prus i Austryi, w Seidenbergu znalazłem się na czeskiej ziemi. Kolej jechała dość szybko, prędko znikały malownicze obrazy gór. Przejechałem Friedland, z zamkiem Wallensteina i Reichenberg, siedzibę obozu Niemców narodowców, Turnow i Nowy Bolesławiec. Wreszcie ujrzałem wieże i kościoły starej Pragi. Wtem pociąg wjeżdża tunelem pod górę Żyski, ciemności nas otaczają przez 5 minut. Wkrótce stajemy na dworcu Franciszka Józefa. Z Baedekerem w ręku szedłem z dworca na plac Wacława, lecz nie mogąc trafić zapytałem się pewnego pana po czesku: „Gde je namesti Wacława?“ Naturalnie dostałem żądaną odpowiedź i poczciwy Czech zaprowadził mnie na plac Wacława. Podczas drogi zapoznaliśmy się, mój przewodnik jest akademikiem i słucha filozofii. Po drodze pokazał mi niemiecki teatr i nowe czeskie muzeum. W środku obejrzeliśmy sobie zbiór wielki monet i bibliotekę czeską zawierającą 150,000 tomów. Potem stanęliśmy na placu Wacława, na którym się rozruchy anti-niemieckie i anti-rządowe odbywały. Plac Wacława należy do nowej dzielnicy miasta i osłonięty drzewami ślicznie się przedstawia. Ztamtąd udałem się za radą mego towarzysza do teatru czeskiego „Narodni diwadlo.“ Śliczna to budowa w stylu odrodzenia, u góry jest napis: „Naród sobie.“ Naprzeciwko teatru wstąpiłem do kawiarni „Slavia“, gdzie Słowianie wszystkich plemion przestają i zapytałem się, czy tu czasem niema Polaków akademików. Kelner odpowiedział mi, że przed chwilą wyszli, ale że z Rusinami się zapoznać mogę i poszedł zaraz do dwóch panów, zawiadamiając ich bez mego żądania, że pewien Polak chce z nimi mówić. Wtedy oni wstali i zbliżyli się do mnie. Lecz się wkrótce dowiedziałem, że ci panowie nie są niestety Rusinami, lecz Rosyanami. Pytam się ich po polsku: „Ilu tu panów z Rusi przebywa?“ Odpowiedź brzmi: „Ne Rusin, ruskij człowiek iz Pietierburga.“ Dowiedziałem się, że ci panowie to Moskale, i że ich 95-ciu w Pradze studjuje, nie umiejąc ani po niemiecku, ani po czesku, tak z winy kelnera byłem w małym ambarasie. Przeprosiłem ich i pożegnałem, ale co prawda i teraz mnie nie rozumieli.

Wychodząc z kawiarni, spotkałem znowu mego znajomego Czecha, który mnie przedtem na plac Wacława zaprowadził. Poczciwy akademik ofiarował się mi miasto całe pokazać i tak szczęśliwym trafem dostałem na cały mój pobyt w stolicy Czech przewodnika, który mi wiele objaśniał i opowiadał.

Poszliśmy więc do starego miasta, gdyż ono jest przedewszystkiem widzenia godne. Ulice w starem mieście są wązkie, często się pod domem jakim przechodzi, który stoi z jednej strony ulicy i sięga na drugą, dając przechodniowi przejście w rodzaju bramy. Ulice te, raczej uliczki, są bardzo ożywione i przypominają dość żywo te nasze poznańskie przejścia, przerzynające ratusz na Starym Rynku. Dostaliśmy się naprzód na wielki rynek, ozdobiony ratuszem starym z XIV wieku, w gotyckim stylu zbudowanym. W sali ratuszowej wznoszą się olbrzymie postumenty Spitikneva (czytaj Spitikniewa), Ottokara II, rzymskiego cesarza, Karola IV, Ferdynanda III i cesarzy austryackich Franciszka I i Ferdynanda I. W sali tej ścięto w roku 1605 marszałka polnego Rosswurma, a wogóle przed ratuszem wiele krwi od miecza katowskiego spłynęło. W r. 1621 ścięto po bitwie pod Białą Górą, w której to Czesi niepodległość stracili, 27 dowódzców partyi protestanckiej, a 12 lat później kazał Wallenstein, książę Friedlandu, 11 wyższych swych oficerów po bitwie pod Lützen, w Saksonii ściąć za tchórzostwo. Godny widzenia jest też zegar ratuszowy z r. 1490, który godziny, dni, zmiany księżyca i lata wskazuje. Gdy zegar godzinę bije, przechodzi w naturalnej wielkości 12 apostołów krużgankiem, co dosyć długo trwa, a gdy ostatni znika, to kogut pieje. Koło ratusza stoi wielka figura Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi postawiona przez Ferdynanda III, na pamiątkę wyswobodzenia Pragi od Szwedów w r. 1650. Minąwszy bibliotekę uniwersytecką, zawierającą 170 000 dzieł, ujrzeliśmy najstarszą wszechnicę Czech i Niemiec Carolinum. Praska wszechnica była swego czasu bardzo wielka, 12,000 akademików liczyła w XIV wieku, i dzisiaj niewiele wszechnic z nią się równać może, gdyż co rok 4000 młodzieży w niej nauki szuka. W 1409 r. 500 akademików razem z profesorami do Lipska wywędrowało, gdzie markgraf Fryderyk Wojowniczy nową wszechnicę założył. Powodem tej wędrówki był Wacław IV, który prawa akademickie dla cudzoziemców ukrócił. Przypomina nam się na ten fakt wędrówka młodzieży krakowskiej, pod panowaniem Zygmunta I. Zygmunt I. wspierał studya klasyczne. Młodzież akademicka w Krakowie wolała swój stary nędzny scholastyczny kierunek i królowi się opierała. Zatem poszło, że słynąca w XV wieku w całej Europie akademia krakowska przestała być ogniskiem odrodzonych nauk, straciła wpływ na piśmiennictwo i pochyliła się do upadku.

Opuszczając Carolinum, miałem już liczniejsze towarzystwo, kilku kolegów mego towarzysza się do nas przyłączyło i razem udaliśmy się dalej. Przeszliśmy koło starego domu, alumnatu dawnego założonego przez naszą kr. Jadwigę dla Litwinów, odwiedzających dział teologiczny. i stanęliśmy przed mostem Karola IV nad Mołdawą. Przed mostem stoi pomnik Karola IV wybudowany w r. 1648. Na podstawie pomnika stoi 4 sławnych mężów, którzy Karola IV w założeniu wszechnicy wspomagali, a na rogach 4 niewiasty przedstawiają fakultety nauki: teologią, filozofią, prawo i medycynę. Na początku mostu stoi wieża mostowa, z której się Czesi w roku 1648 14 tygodni przeciw Szwedom bronili, lecz zdradzeni przez swego rotmistrza wreszcie ulegli. Most ten wybudowany w r. 1648 jest najstarszym mostem Pragi, składa się z 18 łuków wielkich i ma 497 metrów długości, a 10 szerokości. Poręcz mostu zdobi 28 pomników kamiennych. a dwa żelazne przedstawiające 12 apostołów i 18 św. pańskich. Z mostu tego kazał Wacław IV św. Jana Nepomucena z młyńskim kamieniem uwiązanym u szyi do wody wrzucić, dlatego, że św. Jan nie chciał królowi Wacławowi powiedzieć, co się królowa, żona jego, spowiadała. Na miejscu tem jest tablica marmurowa przybita, poświęcona św Janowi.

Przez most na drugą stronę Mołdawy na Hradczin udaliśmy się później, naprzód poszliśmy zwiedzić w Rudolfinum galeryą obrazów czeskich przyjaciół sztuk pięknych. Pomiędzy innemi widziałem tu także obraz Juliusza Kossaka, przedstawiający wojsko pruskie na ćwiczeniu. Potem udaliśmy się do miasta żydowskiego, zwanego także miastem Józefa. W Pradze bowiem żydzi wszędzie nie mieszkają, gdyż Czech solidaryzuje ze swoim i tylko u Czecha kupuje, więc żydzi, widząc że wiele zarobku z Czechów nie mają, osobno mieszkają. Żydzi mają w swojej części miasta własny ratusz, 23 bożnice i starozakonną szkołę, zbudowaną w XIIIym wieku. W szkole tej jest chorągiew zachowana, darowana żydom przez cesarza Ferdynanda IIIgo za odwagę w obronie Pragi w roku 1648 przed Szwedami. Przy tej sposobności wspominam, że i u nas żydzi się na coś podobnego raz zdobyli, stawiając pułk starozakonnych pod wodzą żyda Berka Josielowicza pod rozkazy Kościuszki. Zwiedziliśmy także cmentarz żydowski, najstarszy cmentarz w Europie; kamienie grobowe są mchem pokryte, zielskiem oplątane i dzikie krzaki koło nich sterczą. Na wielu kamieniach są oznaki plemienia wyryte, z którego niebożczyk pochodził, jak napiszykład ręce, oznaka pokolenia Arona, dzbanek, oznaka pokolenia Lewi'go, a winogrona, oznaka pokolenia Israela.

Przeszedłszy potem sławny już opisany most Karola IVgo znaleźliśmy się na Małej Stronie, tak się nazywa ta część miasta, na której Hradczin zbudowano. Na rynku Małej Strony stoi prześliczny pomnik Radeckiego, wykonany przez czeskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Marszałek polny Radecki stoi z laską swej godności w prawej, a z chorągwią w lewej ręce na tarczy, trzymanej przez 8 żołnierzy. Sam cesarz Franciszek Józef darował na ten pomnik 100 centnarów żelaza z armat piemonteńskich.

Przeszedłszy koło pałacu Wallensteina z jego ogromnemi ogrodami przyszliśmy na Hradczin, murem otoczony, który osobną część miasta tworzy. Tu mamy prześliczny widok na prawą stronę rzeki i na miasto stare i nowe, gdyż 203 stopy po schodach się wdrapaliśmy. Przedewszystkiem rzucił się nam w oczy tum św. Wita; za Karola IV rozpoczęto go budować, a dziś jeszcze nie jest skończony. W tumie tym są jak w Gnieźnie, Poznaniu i Krakowie groby królów, tu leży Ferdynand I., Maksymilian II, Karol IV, Władysław Pogrobowiec, z którego matką Władysław Warneńczyk wojnę toczył. Warneńczyka królem Węgry koronowali, niemając następcy żadnego po Albercie, królu Węgier. Tymczasowo żona Alberta po śmierci jego, syna powiła i dla niego koronę uzyskać chciała. Temu synowi dano imię Władysław, a że po śmierci ojca się urodził nazwano go Pogrobowcem, lecz Władysław Pogrobowiec za młodu umarł, więc się wojna Warneńczyka z matką jego skończyła. Na uboczu w tumie jest kaplica św. Wacława, w której jego zwłoki leżą. Pomiędzy innemi kaplicami odróżnia się przepychem wielkim kaplica, gdzie zwłoki św. Jana Nepomucena, utopionego w Mołdawie, leżą. Na grobie stoi figura św. Jana, ulana ze złota, ważąca 30 cent.

Wyszedłszy z tumu, poszliśmy do zamku, tak sławnego swą przeszłością. Zamek wybudowała Libussa, założycielka Pragi, a Karol IV go odnowił. Najładniejszą i największą salą jest sala Władysława, króla czeskiego, a syna naszego Kazimierza Jagiellończyka, w której to Władysław, koronowany w roku 1471 hołdy rycerzy czeskich odbierał. Dalej jest jeszcze wymienienia godną sala, z której Martinica i Sławatę z drugiego piętra w roku 1618 z wysokości 17 metrów zrzucono, co było powodem do 30-sto letniej wojny. Na dole pod oknami są groby obydwóch mężów. Niedaleko zamku stoi kościół loretański, w którym pomiędzy innemi kosztownościami jest także monstrancya, zawierająca 6580 wartościowych kamieni.

Wreszcie przeszliśmy znowu most Karola IV i udaliśmy się do kościoła emańskiego. Kościół ten wystawił Karol IV, pozwalając w nim na kazania i nabożeństwo czeskie, przeciw czemu się Niemcy swego czasu oburzali. Niedaleko tego kościoła widać szczątki zamku Wyszelwadu, najstarszego zamku Pragi. Ztamtąd udaliśmy się na cmentarz czeski, na którym wielu sławnych Czechów leży. Tam wznosi się ogromny postument anioła śmierci, na kapliczce dla literatów i poetów czeskich, zafundowanej przez adwokata Fischera. W samym rogu cmentarza spoczywają zwłoki wielkiego Jelinka. Prosty i skromny jego grób i tak zwyczajny, że od innych grobów okazałych odbija. Nad grobem przyjaciela naszego narodu wisi szarfa czarna z białym napisem „Od przyjaciela z Polski.“ Rzewnie mi się przy jego grobie zrobiło; rzuciliśmy wszyscy na grób jego kwiaty i podług czeskiego zwyczaju wizytowe bilety, których tam pełno leżało.

Po zwiedzeniu miasta usiedliśmy razem, popijając smichowskie z piwo browaru, położonego na przedmieściu Pragi, Smichowie. — Tu żeśmy sobie wiele opowiadali, gdyż byłem pierwszym Polakiem, z którym się Czesi zapoznali. Jest wprawdzie w Pradze wielu Polaków, mianowicie akademików, którzy własne grono tworzą i z Czechami nie żyją. W Pradze jest także wielu Rosyan, Rusinów, Bułgarów, Węgrów, Serbów, lecz synowie każdego narodu razem żyją na drugich się nie oglądając.

Między innemi dowiedziałem się, że w szkołach czeskich czytają uczniowie „Pana Tadeusza“ Mickiewicza w tłomaczeniu Krasnoporskiej, a na stołach u nich znalazłem to wielkie dzieło po polsku w wydaniu „Macierzy polskiej.“ Bardzo mnie to ucieszyło. U nich w szkołach nasze dzieła są przepisane, a u nas w kraju są zakazane. Czy to nie bolesne?

Praga ma dwa teatry czeskie, a cztery niemieckie, chociaż miasto liczące 310 000 mieszkańców ma 82 proc. Czechów, a tylko 16,6 proc. Niemców, a resztę cudzoziemców i żydów. Na ulicach i w składach czeski język góruje i rzadko się słowo niemieckie usłyszy.

Lecz chwile me piękne minęły, musiałem Pragę i mych towarzyszów opuścić, którzy mnie wszyscy na dworzec odprowadzili. Opuszczałem stolicę narodu, który wiele wycierpiał, straciwszy swą niepodległość w roku 1621. I im język gwałtem wydzierano, w szkołach się uczyć po czesku nie pozwolono i nawet na kazaniach po czesku mówić zakazano. Patrzcie rodacy, czem oni teraz są? Często my Polacy mówimy „zapatrujmy się na Czechów, oni swój język szanują, oni pierwsi w przemyśle są.“ A czemu to zawdzięczają? Zawdzięczają temu, że naród ciężką szkołę życia przeszedł.

Pracujmy więc za ich przykładem!

Tadeusz Sobeski.

Głosy od Przyjaciół.

Inowrocław, 23. X. 1900.

W 43 numerze „Pracy“ zamieszczona jest korespondencya z Inowrocławia, w której korespondent omawia budowę tutejszych kościołów, — a czyni to w sposób, który nieobeznanych z miejscowymi stosunkami czytelników w błąd wprowadza.

Odbudowanie ruin kościoła N. Maryi Panny wywołuje u korespondenta wielkie niezadowolenie.

„Liczne składki, pisze, płynęły na ten cel z rąk polskich, sypał się obficie fundusz budowlany z polskich kieszeni, a oto w nagrodę za to oświadczono obywatelom, że kościół ten ma być przeznaczony do wyłącznego użytku Niemców-katolików i uczniów szkół miejskich i gimnazyalnych.“ Korespondent ubolewa nad „zamierającem życiem obywatelskiem,“ nad „zanikiem energii i poczucia własnego poszanowania u obywateli polskich“, że „pozwolą sobą pomiatać“, że „się o swoją krzywdę nie upomną i — wzywa ofiarodawców do wycofania swych składek.

Oburzenie szan. korespondenta zrozumiałe, i w razie prawdziwości podniesionego faktu uzasadnione. Chodzi tylko o to, czy podstawa, na której się szan. korespondent oparł, jest dość pewną i czy odpowiada prawdzie, ażeby utrzymała ciężar tak ciężkiego oskarżenia. —

Parafia inowrocławska liczy obecnie, jak wiadomo, przeszło 20 tysięcy dusz, — w ostatnich 12 latach wzrosła o 100%. Stosunki kościelne wobec istniejącego tylko jednego kościoła były wprost niemożliwe wśród deszczu i śniegu połowa wiernych stała po za kościołem, a wielka część do kościoła wcale nie uczęszczała. Rozpoczęto pertraktacye z patronatem rządowym w sprawie budowy nowego kościoła przed 12 laty i już wtedy uznano konieczność wystawienia tak wielkiego kościoła, jaki obecnie stanął. Odkąd 10000 parafian przybyło, — czyż i o nich i o przyszłym wzroście parafii pamiętać nie należało — czyż nie było warto pomyśleć o tem, ażeby, dopóty są jeszcze stosunki po temu, zaopiekować się tą rozpadającą się coraz więcej prastarą świątynią kujawską i z gruzów ją podźwignąć? I stało się, że Pan Bóg pobłogosławił zbożnemu dziełu i — ruina w początku przyszłego roku stanie się znowu domem Bożym i nowem źródłem łask dla naszego społeczeństwa! Myśl o tem napełnia wielką radością nietylko parafian, ale wszystkich tych, którzy z utęsknieniem wyczekiwali tej chwili, żeby te czarne mury, ponad któremi osiem wieków przeszło, — które były świad-

kami wielkich dziejowych chwil z historyi polskiego narodu — widziały czasy Piastów, razem z przeobrażaniem się państwowego ustroju, przekształcały się, zmieniały, — kruszały, — aż w końcu razem z upadkiem samodzielności narodowej i same upadły, — żeby teraz po stuletniej niewoli dźwignęły się z gruzów jako pomyślna wróżba wewnętrznego odrodzenia naszego społeczeństwa. Lud polski pospieszył z pomocą, grosze swoje chętnie dawał, bo wiedział, że *sobie* ten kościół buduje.

W pośród ogólnej radości z rozpoczęcia tego dzieła, głos szan. korespondenta ozwał się jak — krakanie kruka. Ażeby *ten* właśnie kościół, z *tą* przeszłością dziejową — wystawiony nadto *wyłącznie* polskim groszem, oddać na własność Niemcom i do ich *wyłącznego* użytku, — to przypuszczenie jest tak bez wszystkiego już nieprawdopodobnem, a samo w sobie tak bezdennie niedorzecznem i naiwnem, że choćby nawet za tem jakie fakta przemawiały, jeszczeby w to wierzyć nie można.

Że Niemcy-katolicy pod względem duszpasterskim te same mają prawa co Polacy, samo się przez się rozumie, — że przy istnieniu trzech kościołów i oni pod względem obsługi duchowej lepiej będą zaopatrzeni, jest zrozumiałem, ale o oddaniu im jednego z kościołów do *wyłącznego* użytku mowy być nie może! Przecież oni osobnej parafii nie tworzą i żadnego prawa do dopominania się osobnego kościoła nie mają, a kościół Panny Maryi, to nie klasztór, któryby podpaść mógł sekularyzacyi państwowej.

Ażeby uniemożliwić tego rodzaju zakusy *i w przyszłości*, spowodował dozór kościelny ekseksuacyą ruiny z pod władzy fiskalnego patronatu, wyrzekł się i subwencyi rządowej, którą w drodze łaski uzyskać były najpewniejsze widoki. Stowarzyszenia polskie katolickie fundują do starego kościoła ołtarze i zyskują raz na zawsze prawo do swoich polskich nabożeństw brackich itd.

Wobec tego wszystkiego pisze korespondent, że „oświadczono obywatelom, że kościół ten przeznaczony ma być do *wyłącznego* użytku Niemców-katolików.“ To ciekawa wiadomość! Kto to oświadczył, gdzie, komu? Którzy to są ci obywatele? Nikt tu nic o tem nie wie! Można szczerze ubolewać nad tem, że znalazł się Polak, katolik, parafianin, który się podjął takiej Herostratesowej roboty.

Lecz nie na tem koniec. Szanowny korespondent uwziął się widocznie na nasze kościoły i przysłużywszy się najprzód staremu, w drugiej części swej korespondencyi zajmuje się łaskawie nowym kościołem. I co też pisze o nim? — że jest okazałym, wspaniałym, jakie ma potężne wieże, — olbrzymie dzwony, śliczne rzeźby Marcinkowskiego itp.? tak by mógł pisać, — możeby tak nawet powinien pisać, — ale pan korespondent o tem wszystkiem — nic nie pisze; on się znowu na coś osobnego uwziął, — na biednego koguta na wieży! Wymyśla, że to jest rzeczą niebywałą stawiać koguta na wieży, że to jest „symbol niemieckiego protestantyzmu,“ że coś podobnego nie zaszło dotąd nietylko w Europie, ale nawet „na całej kuli ziemskiej,“ — a ten, który go tam na wieży postawił, uczynił to tylko „przez nieograniczony szowinizm i chęć przypodobania się Niemcom!“ Straszne rzeczy! Brrrr!

„A propos! Wie szanowny Korespondent, jakie znaczenie ma wogóle kogut na wieży katolickiego kościoła? Otóż: *Kogut jest symbolem czujności chrześciańskiej. Jak poranne jego pianie budzi ludzi do pracy, tak i ten symboliczny kogut budzi ze snu duchowo śpiących i nawołuje ich do pracy około swej duszy; — napomina leniwych, ażeby z łoża nałogów powstali; — dla odstępców i niedowiarków jest ciągłą groźbą, a grzesznikowi skruszonemu jest kur Piotrowy pobudką do szczerego żalu i wróżbą dobrą uzyskania przebaczenia grzechów!*

Otóż znaczenie koguta na wieży katolickiego kościoła! Stądto uświęconym było zwyczajem, stawiać na wieżach średniowiecznych kościołów koguta, nie tylko jednego ale i kilku.

Jeżeli wobec tego szanowny korespondent twierdzi, że kogut „jest symbolem protestantyzmu niemieckiego,“ — to niech mi daruje, jeżeli mu powiem, że o sprawach kościoła ma takie mniej więcej pojęcie, jak chiński mandaryn o polskiej literaturze. — Koguty wieki całe siedziały na wspaniałych wieżach katolickich kościołów, zanim Luter ze swoją nauką wystąpił. Właśnie od czasów Lutra koguty stanowisko swoje wysokie straciły, gdyż skończył był się już wtedy peryod romańskiego stylu i gotyki, a na barokowych kościołach stawiano tylko krzyż, czasem pod nim chorągiewkę. Że obecnie i lutrzy do koguta powrócili, tłumaczy się to zastósowaniem stylów średniowiecznych przy budowach nowoczesnych kościołów, ale wzgląd ten nie uprawnia bynajmniej katolików *do wyrzeczenia się* tego pięknego symbolu!

A więc, panie korespondencie, z tym kogutem to panu licho poszło; ten kogut sprowadził poprostu blamaż dla pańskiego wielkiego „rozumu“ — i tę naukę, że koguta nie trzeba drażnić, bo szelma jakaś zemści się, podziobie, podrapie — i ot — kto ma uciechę z tego— pewno nie szanowny korespondent.

Ale szan. pan jeszcze na to wszystko powiesz: — niech sobie tam kogut na kościele będzie symbolem katolickim, ale on nas zawsze razi, on nam wstrętny, bo on symbolem — niemieckości! Za pozwoleniem! Słyszał szanowny korespondent o „Panu Tadeuszu“ Mickiewicza? Tam bowiem zachodzi jakiś stary Maciek z Dobrzyńskiego zaścianka, który dla swych zasad i poglądów politycznych otrzymał przezwisko: „kurek na kościele.“ Kręci się jak kurek na kościele — to weszło w przysłowie, coby się nie było stało, gdyby w Polsce na kościołach kogutów nie było. Prawda? — a więc, szanowny panie, kogut, to i — polski ptak!

I jeszcze z kogutem nie koniec. Szanowny mój przyjaciel odkrył bowiem jeszcze coś gorszego przy nowym kościele. Pisze dosłownie: „Pierwszy to pewnie kogut na całej kuli ziemskiej, któremu przypadło w udziale zająć tak zaszczytne miejsce na wieży kościoła katolickiego, ale boleśniejsza dla każdego katolika myśl, że zdołał wyrugować z miejsca nasz krzyż święty. Różne są wprawdzie gusta ludzkie, ale zamiłowanie takiej, że tak powiem profanacyi, to już pobłażliwość i lojalność posunięta do grzesznego zbytku.“

No, proszę, — możemy sobie powinszować: „na całej kuli ziemskiej nie ma tego, co jest na kościele Inowrocławskim!“ Nasze miasto stało się od razu sławnem, widzę już tłumy ciekawych turystów z Anglii i Ameryki, spieszących zobaczyć tę osobliwość jedyną „na całej kuli ziemskiej“. Jakby to było pięknie, gdyby tak było, ale lękam się, żeś szanowny autorze zgotował nam bolesny zawód. Wprawdzie na tej „kuli ziemskiej“, która twoje wiadomości historyczne, szanowny dziejopisarzu, obejmuje i sięga od Inowrosławia aż do Mosiny — to przyznaję, że masz najzupełniejszą słuszność. Ale wyobraź sobie, szanowny panie, że istnieją ludzie, którzy z wszelką stanowczością twierdzą, że i za Mosiną jest jeszcze — dalszy ciąg świata, — a na tej, nawet niektórym korespondentom nieznanej „kuli ziemskiej“, są olbrzymie świątynie, wspaniałe katolickie katedry, które nie mają na wieżach wcale krzyżów, tylko romańskie gałki, albo gotyckie kwiaty, albo — o zgrozo — *same* koguty! A z tego taka konkluzya, że gdyby i nasz kościół nie miał wcale krzyża, ale także tylko koguta, nie byłoby to znowu taką straszną „profanacyą“ i dowodem „lojalności posuniętej do grzesznego zbytku“, — tymczasem — słuchajcie! To wcale nie prawda, żeby „kogut wyrugował z miejsca krzyż święty“ — na naszej wieży ***jest*** przecież ***krzyż***, — wspaniały, potężny, zdala widny, bo pięć metrów wysoki, a osiem centnarów ciężki! A pan go nigdy nie widział? Czyby go kto przed panem czapką przykrył?

Na tem niech będzie koniec tej wojny koguciej. Winienem jeszcze tylko odpowiedzieć na pytanie, jak sobie wytłumaczyć takie wprost bezprzykładne dowody pisania świadomie nieprawdy. Odpowiedź na to pytanie będzie zarazem dla łaskawych Czytelników usasadnieniem, dlaczego robię tyle zaszczytu *takiemu* korespondentowi i tak obszernie na jego banalne zarzuty odpowiadam.

Postępowanie korespondenta jest niestety typowym u nas objawem, jak się pewni ludzie ze czcią swego bliźniego w publicznych pismach obchodzą. Gdyby wszystkie nonsensa jego wyszły były z prostaczego umysłu bez świadomości następstw takiej pisaniny, obyłoby się bez wszelkiego sprostowania. Ale autor inkryminowanej korespondencyi występuje z zupełną świadomością, z wyrafinowanem wyrachowaniem i wyraźnym zamiarem szkodzenia swemu bliźniemu. W braku rzeczywistych uzasadnionych zarzutów posługuje się zmyślonemi. Znając drażliwość naszego społeczeństwa na punkcie narodowym, podnosi w chytry sposób *takie* zarzuty, o których wie, że wywołają największe oburzenie. *Polskim* groszem ma być odbudowany kościół Panny Maryi, ażeby oddany był po wystawieniu na własność *Niemcom! Krzyża* na nowym kościele nie postawiono, ażeby go zastąpić *protestancko-niemieckim* symbolem koguta i t. p.

Wystawienie obydwóch kościołów, — to wielkie dzieła, na które społeczeństwo od 70 lat zdobyć się nie mogło, a przecież korespondent żadnego nie ma na to

słowa uznania, żadnego wyrazu radości, w zamian za to apostrofuje tytułami: „nieograniczony szowinizm, chęć rzypodobania się Niemcom, lojalność posunięta do grzesznego zbytku“ i t. p.

Gdyby zamiar korespondenta dalej był nie sięgał, jak dokuczyć osobie, która mu nic nie winna, możnaby i to jeszcze zbyć milczeniem. Ale szan. korespondent idzie dalej. On odziera nie tylko ze czci osobistej, nietylko podkopuje powagę stanowiska, ***ale stara się wszelkim sposobem szkodzić w przeprowadzeniu dzieła tak wielkiej doniosłości jak odbudowanie kościoła Panny Maryi.*** Nie kontentuje się uwagami lub ostrą krytyką, ale burzy społeczeństwo, powstrzymując je od udzielania ofiar na odbudowanie ruiny, co więcej nawołuje do żądania zwrotu złożonych składek! I nie zrobił tego ten człowiek pod wrażeniem jakiegoś chwilowego uniesienia, ale *z rozmysłem i wyrachowaną perfidyą. Ta sama* korespondencya z „Pracy“, dosłownie była umieszczona przed kilku tygodniami w jednem z pism poznańskich. Skutek nie musiał go zadowolić, bo składki mimo jego protestów dalej płynęły, zamieścił więc swój szlachetny elaborat powtórnie i to w „Pracy“. Bezkarność go rozzuchwaliła, czuł się bezpiecznym, nie odebrawszy zaraz odpowiedzi. Teraz sobie za to ten niezaspokojony w swojem sumieniu „katolik“ dotkliwie palce przyskrzynił. No nie pierwszy to raz i pewno nie ostatni.

Czytelnicy łaskawi mają nowy przykład na to, ile krzywdy osobom, szkody sprawie i ujmy pismom wyrządzają ci, którzy niechęci osobiste przenoszą na pole publicystyki i tworzą o uczciwie pracujących ludziach t. zw. *opinią publiczną.*

Gdyby się prasa nasza z tych korespondentów-gentlemanów otrząsnąć mogła, społeczeństwo nasze znacznie by ozdrowiało.

Czytelnik „Pracy.“

Nowy teatr we Lwowie.

I przyszła chwila, że starodawny gmach Skarbkowski począł budzić powszechną niechęć. Wewnątrz ponury, niewygodny, z licznemi krużgankami, wiodącemi do prywatnych mieszkań, nie zadawalniał najmniej wybrednych wymagań, ani gwarantował jakiekolwiek bezpieczeństwo. Ostatni wzgląd bodaj najciężej zaważył na szali jego losów. Po opłakanej katastrofie w wiedeńskim Ringtheatrze, wzięto pod uwagę gmachy teatralne w całej Austryi. Ostały się budynki tam, gdzie można było zaprowadzić konieczne reformy; lwowski zaś stanowił wyjątek, co znakomicie ułatwiło urzeczywistnienie marzenia Rady miejskiej dania Lwowianom gmachu pięknego, wspaniałego. A wszak o sztukę polską w tym razie chodziło? Wzięto się więc energicznie do dzieła i po długich, jak zwykle w podobnych razach, naradach, Wydział Krajowy ogłosił konkurs na budowę nowego teatru we Lwowie, przeznaczając od siebie na dokonanie dzieła 300,000 złotych reńskich.

W konkursie mogli przyjąć udział tylko architekci Polacy. Możnaby sądzić, że ogłoszenie konkursu wywołało ruch w odnośnych sferach, że projekty napłynęły w ogromnej ilości, że miasto wybór miało wielki. Przeciwnie! Ku ogólnemu zdziwieniu nadesłano tylko *cztery projekty*, komisya więc sędziowska, którą składali: pp. Ferster, twórca wiedeńskiego Ringtheatru, Hochberger, dyrektor budow. miasta Lwowa, prof. Zaharyewicz, Dziekoński (Warszawa), Odrzywolski (Kraków), Łoziński i Małecki (Lwów), miała nie bardzo skomplikowane zadanie.



Pawlikowski. dyrektor teatru nowego we Lwowie.

Po zbadaniu nadesłanych prac dwie odznaczono nagrodami; po otworzeniu kopert przekonano się, że twórcą wyróżnionego pierwszą nagrodą projektu jest dyrektor lwowskiej szkoły przemysłowej, Gorgolewski, a drugiego bud. Zawiejski. Modele, wystawione na widok publiczny, obudziły wielkie zajęcie. Oglądano je ciekawie, badano; zdania się ścierały. Pierwszeństwo do końca utrzymał prof. Gorgolewski, bo jemu to jednogłośną uchwałą Rada Miejska powierzyła budowę.

Nie zwlekając, zabrano się do dzieła i dnia 5 czerwca 1897 r. rozpoczęto pracę około robót ziemnych z zastosowaniem całkiem nowego sposobu, mianowicie: betonowego fundamentowania z żelaznemi wkładkami. Pracowano gorliwie i d. 30 kwietnia 1899 r. o godzinie 12 w południe, wobec wszystkich władz cywilnych i wojskowych odbyło się uroczyste założenie kamienia węgielnego. Odtąd gmach rósł jak na drożdżach i jedynie przy pomocy sił i materyałów krajowych. Do Wiednia udawano się tylko po oświetlenie elektryczne, żyrandol, świeczniki i ogrzewalnie, do Włoch po sztuczne marmury, które zresztą użyto w bardzo niewielkiej ilości. Wymownie to przemawia na korzyść Galicyi, w której przemysł według orzeczenia sfer miarodajnych mógłby w krótkim czasie rozwinąć się znakomicie.

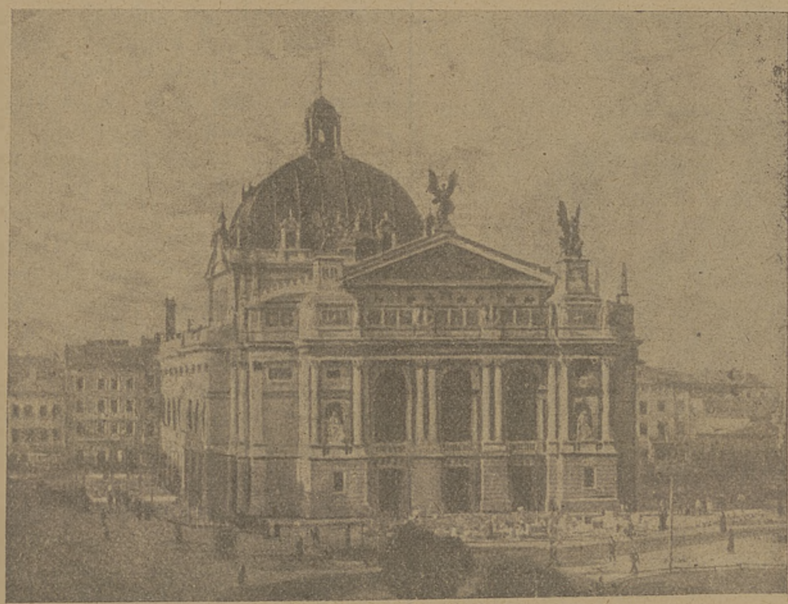
Trzy lata minęły od chwili zanurzenia pierwszej łopaty w ziemię, na której miał stanąć teatr, a dziś gmach imponujący dumnie wznosi się na placu Gołuchowskich, panując nad wałami hetmańskiemi. Jak zwykle w podobnych razach, dzieło wywołuje setki najsprzeczniejszych zdań. Jedni dokładają wszelkich starań, by podnieść jego wartość, inni co sił starają się oburzyć, wylewając na twórcę teatru prof. Gorgolewskiego całe rezerwuary żółci. Bezwątpienia, — nowy teatr nie jest dziełem skończonem pod względem architektonicznym. Trochę za niski, przysadzisty nie ma w sobie tej lekkości, nadającej tak wielki powab gmachom monumentalnym, a bodaj najtrudniejszy do osiągnięcia. Niechaj wszyscy malkotenci i prof. Gorgolewski błąd doskonale oceniający, szukają pociechy w gmachu wielkiej opery paryskiej, która, pochłonąwszy dziesiątki milionów franków, razi wadliwością rysunku, nieproporcyonalnością części składowych. Kopuła śmiesznie nizka z placu nie jest widoczną, a chcąc cały gmach okiem objąć, trzeba odsunąć się na Avenue de l'Opéra. Budowniczy błąd ten ujrzawszy, tak go odczuł. że rzucił się z wysokości tej kopuły i czaszkę sobie na bruku rostrzaskał. Kopuła zaś, wznosząca się nad salą lwowskiego teatru, jest za wielką w stosunku do całego gmachu, ale ze swemi pięcioma gloryetkami wywiera wrażenie podniosłe. Nadaje to teatrowi cechę Panteonu, bo jest on nim w istocie. Uwieczniono tu wszystkich mężów zasłużonych. Odtąd na setki pokoleń, przesuwających się przez salę teatralną, foyer, klatkę schodową, spoglądać będą poważne oblicza, na których czołach geniusz położył swe piętno i pokoleniom tym przypominać będą w czem leżą chwała i potęga narodu.

W klatce schodowej widzimy ukochane oblicze tego, który „cierpiał za miliony“ i wielkich twórców: „Balladyny“, „Irydyona“ i „Trenów“. Wykonanie popiersi: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Kochanowskiego zaszczyt przynosi naszym artystom. Medaliony: ojca teatru polskiego, Wojciecha Bogusławskiego, ojca komedyi, Aleksandra Fredry, Bohomolca, Niemcewicza, Zabłockiego, Kamińskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, są wmurowane w ściany, okalające klatkę schodową. Klatka ta jest najpiękniejszym motywem całego gmachu.

Górną część ścian pod sufitem pokrywają pełne kolorytu obrazy, przedstawiające w postaci rozbawionych amorków: muzykę, śpiew, komedyę i tragedyę, dalej godła wiedzy, sprawiedliwości, rolnictwa, stanu rycerkiego, mieszczańskiego. Posadzka jest biała marmurowa; naprzeciw głównych drzwi wchodowych owalne białe marmurowe stopnie; od górnego ich poziomu rozchodzą się takież dwuramienne schody, wiodące do krzeseł i lóż pierwszego piętra. Kraty balkonu, okalającego klatkę, zarówno jak olbrzymie świeczniki i pająki są bogato złocone. Krwisty marmur weroński, przeplatany szarym tyrolskim, tworzącym balustrady schodów, wszystko razem oblane światłem elektrycznem, tworzy całość przepyszną w kolorycie i wyrafinowanym guście. Zaiste, mało teatrów europejskich może pod tym względem rywalizować z nowym teatrem lwowskim.

Nie ustępuje pod względem wspaniałości klatce schodowej foyer, na pierwszem piętrze z olbrzymiemi szklanemi odrzwiami, prowadzącemi do „loggii“ zewnętrznej, skąd roztacza się widok na Wały

Hetmańskie i aż na plac Maryacki. Na tle bogatych złoceń niezmiernie efektownie wyglądają, soczyste w barwach i doskonałe w układzie, illustracye wybitnych scen dramatycznych. Pierwszeństwo przyznać trzeba fragmentowi z „Karpackich górali“, kiedy to Prakseda zapewnia dziewuchę, że żaden z pośród górali nie dorówna Antosiowi w rzucaniu toporkiem do oznaczonego celu, Antoś zaś szykuje się do wykonania mistrzowskiego rzutu. Obraz ten w ruchu doskonały, wre życiem i jest pełen wyrazu. Silne wrażenie wywiera motyw z „Zemsty za mur graniczny.“ Cześnik, ujrzawszy Wilczka w swym domu, chwyta za głownię karabeli, równocześnie jednak myśl szybka jak błyskawica: „Nie wódź mnie na pokuszenie ojców moich wielki Boże, bo gdy wstąpił w progi moje, włos mu z głowy spaść nie może,“ — broń zabójczą wytrąca z jego ręki. Grozę budzi Baliadyna obłąkana z przerażeniem nad zwłokami Aliny, otulona blademi promieniami miesiąca, smutek scena z „Barbary Radziwiłłówny,“ uśmiech chwila z „Fircyka w zalotach.“ Dalej uwagę zwracają sceny z „Odprawy posłów.“ „Krakowiaków i górali“ i „Halki.“ Pod temi obrazami na postumentach ustawiono popiersia tych, których nazwiska promiennemi zgłoskami zapisano na kartach historyi polskiej muzyki, więc: Moniuszki, Chopina, Kurpińskiego i Elsnera.



Teatr nowy we Lwowie.

Widownia, przybrana w hojnie złoconą białą sukienkę, utrzymaną w stylu Odrodzenia, nad wyraz miłe sprawia wrażenie. Jasna, świetna, wykwintna, zadowoliłaby nawet „arbitra elegantiarum.“ A pełno w niej dzieł sztuki. Dookoła żyrandola pląsają alegoryczne postaci wszystkich gałęzi sztuk, cokolwiek dekadenckie w rysunku i może zaoszczędnie w gazę spowite, ale doskonałe w ruchu i kolorycie. W około nich w wielkim kręgu rozciągają się medaliony w płaskorzeźbie nieżyjących artystek i artystów dramatycznych, którzy chlubnie zaznaczyli się na polu sztuki teatralnej. Śliczny w układzie plafon nad orkiestrą pędzla Stan. Rejchana, jest perełką malarską, godną sąsiadowania z kurtyną Siemiradzkiego. Dużo wdzięku mają kamee profesora Szkoły przemysłowej Pietscha, rozrzucone na balkonie lóż pierwszego piętra. Prześliczne w rysunku główki herm, podtrzymujące trzecie piętro, są dziełem prof. Gorgolewskiego, jak wszystkie ozdoby, wśród których karyatydy, dźwigające loże drugiego piętra poczesne zajmują miejsce.

Zewnętrzna szata gmachu, cokolwiek wadliwa w rysunku, w stylu eklektycznym jakkolwiek z silnem zaakcentowaniem Odrodzenia, z którem jednak szczytowe miniatury egipskich piramid nie mają nic wspólnego, pełną jest jednak wartościowych szczegółów artystycznych. Wspaniałą jest wyniosła, potężna postać Sławy, stojąca na szczycie „tympanonu“, złotą palmą wieńcząca tych, których podobizny w gmachu umieszczono i sztukę polską, która w gmachu tym nadal nieustannie rozwijać się będzie. Wspaniały tympanon, wykonany podług rysunku Tadeusza Popiela, wyobrażający w płaskorzeźbie wesołe i smutne chwile życia. Przepiękne alegoryczne postacie Muzyki, Śpiewu, Tragedyi i Komedyi, doskonale modelowane muzy stojące w długim szeregu u stóp tympanonu.

Dzieła artystyczne były podzielone w ten sposób: Stanisław Rejchan pracował w sali widzów, Popiel w klatce schodowej, Dębicki w foyer, mając do pomocy następujących miejscowych artystów: Zubera, Kotowskiego, Peitscha, Kühna, Rozwadowskiego, Rybkowskiego, Kellera, Stefanowicza i Augustynowicza.

Więc, jeżeli są błędy, nieocenioną kompensatę znajdujemy w wzniosłych pomysłach prof. Gorgolewskiego i wielkiej wartości dziełach artystycznych i nareszcie w równie ważnym kierunku praktycznym. Prof. Gorgolewski nie ominął żadnego szczegółu, zapewniającego publiczności i artystom największe wygody. Plagą prawdziwą są przeciągi teatralne; ani Paryż, ani Wiedeń, ani Berlin nie stanowią wyjątku, Lwowski jest bodaj jedynym, w którym widzowie nie będą narażeni na reumatyzm. W jaki sposób twórca teatru sztuki tej dokonał, to jego tajemnica, dość, że tak jest. Mnóstwo wyjść, osobne schody na każde piętro sprawiają, że teatr opróżnia się w ciągu paru minut. Woda w rezerwoarach, umieszczonych w kopule jest w możności, w jednej chwili zamienić w jezioro scenę, oddzieloną od widowni żelazną kurtyną. Scena z czworgiem żelaznych drzwi, zupełnie oddzielona od garderób i wszelkich zakulisowych ubikacyi, znakomicie się nadaje do grania sztuk nastrojowych, wymagających od artystów wielkiego skupienia. Żaden szmer zewnętrzny do sceny tej nie dochodzi, nikt w widowisku udziału nieprzyjmujący nie potrzebuje wałęsać się po scenie, chcąc wejść do reżyserki lub której z garderób. Pomysł to nowy i doskonały. Zapasowa sala do prób ułatwia pracę reżyserską, umożliwiając równoczesne opracowywanie dwóch sztuk, nareszcie niepodobna pominąć domu pomocniczego na malarnię, modelatorni, magazynów dekoracyi, kostyumów itd., itd.

Wszyscy, którym drogą jest przyszłość polskiej sceny, powinni, pełni podziwu, wobec pracy prof. Gorgolewskiego odczuwać głęboką wdzięczność dla miasta, które nie będąc bogatem, nie ulękło się kosztów, wynoszących półtora miliona złotych reńskich, oraz odczuć wdzięczność dla artystów, którzy talent swój nieśli ku uświetnieniu gmachu, otworzonego uroczyście dla publiczności dnia 4 z. m.

Lwów złożył dowód wielkich sił żywotnych. *Wł. Paliński.*

Ludwik Kondratowicz.

Ludwik Kondratowicz, piszący pod pseudonimem **Władysława Syrokomli** urodził się w Smolhowie na Litwie roku 1823. Lata dziecięce spędził w nadniemeńskim folwarku Marchaczewszczyźnie, dzierżawionym przez swego ojca, kształcił się w szkołach dominikańskich w Nieświeżu i Nowogródku; po ukończeniu pięciu klas z powodu ubóstwa rodziców, zaniechał dalszej nauki i najpierw pomagał ojcu w gospodarstwie, a następnie otrzymał miejsce w zarządzie dóbr Radziwiłłowskich w Nieświeżu, gdzie w dalszym ciągu sam się kształcił, pracując przeważnie nad historyą i literaturą ojczystą, do czego wielką mu było pomocą bogate archiwum książęce. Ożeniwszy się w bardzo młodym wieku, osiadł na roli w Załuczu nad Niemnem, ale po kilku latach gospodarki i pracy literackiej przeniósł się do Wilna, zkąd wszakże już po roku, nie mogąc dłużej wytrwać wśród gwaru miejskiego, wrócił na wieś i osiadł we wziętej w dzierżawę wiosce Borejkowszczyźnie pod Wilnem. Ztąd czynił niekiedy wycieczki w głąb Litwy, dwa razy był w Warszawie i raz w Krakowie i Poznaniu; pod koniec życia stale zamieszkał w Wilnie. Żyjąc z dość liczną rodziną w ciągłym niedostatku, poeta przechodził niejednokrotnie chwile ciężkiej biedy materyalnej i umarł niemal w nędzy w Wilnie 1862go roku, gdzie go pochowano. Illustracya nasza na stronie 1197 przedstawia pomnik, który wdzięczni Warszawianie wystawili „Litewskiemu lirnikowi“ na jego grobie, na cmentarzu w Wilnie.

Syrokomla jest poetą, również jak i Pol, szlacheckim, ale w zupełnie innym rodzaju: gdy ten ostatni idealizował zbytnio przeszłość szlachty z jej ujemnemi stronami, Kondratowicz, który równą

miłością ukochał postaci przodków, umiał pomimo to spostrzedz i uwydatnić niektóre ich wady; ztąd, kreśląc w barwach bardzo sympatycznych strony dodatnie swych bohaterów, jest wszakże niekiedy poetą-satyrykiem, wytykającym ich błędy i słabostki w tonie łagodnym, ojcowskim. Obok tego jest on także i poetą ludowym, jednym z tych nielicznych wówczas u nas pisarzów, co stanęli



Grób Syrokomli we Wilnie.

w obronie pokrzywdzonych, uznali w każdym człowieku brata i zwrócili się do ludu ze słowami prawdziwej miłości. Głębin myśli w utworach Syrokomli, który wyższego wykształcenia nie otrzymał, nie widzimy: z natury cichy, spokojny, rzewny a miłujący serdecznie ziemię rodzinną, Kondratowicz nie szybował nigdy w wyższych sferach idei, nie potrącał nigdy o nadzwyczajne namiętności ludzkie. nie umiał zresztą malować potężniejszych walk i szamotań się duchowych; natomiast znakomicie kreślił tłum szaraczkowy lub siermiężny i jego życie codzienne, jego radości lub cierpienia, a niekiedy i ciche tragedye bez rozgłosu. Ztąd w utworach tych porywa nas głębia uczucia i zachwyca swojskość, polegająca na całkowitem odczuciu i przejęciu się naturą typów i charakterów swojskich i na doskonałem ich uwydatnieniu; tem właśnie tłómaczymy sobie wielką popularność Syrokomli, dającą mu prawo najzupełniejsze do nazwy poety czysto narodowego. Wziętość tę zyskał on sobie zacną dążnością swych utworów, ogromną w nich siłą uczucia miłości ku społeczeństwu, którego dobro leżało mu zawsze na sercu, obroną wszelkich biedaków, pokrzywdzonych przez los i ludzi, znakomitemi wizerunkami szlachty uboższej, której rysów dodatnich był najdoskonalszym u nas po Mickiewiczu malarzem, nakoniec prostotą stylu i obrazów, która uczyniła utwory poety dostępnemi dla najmniej nawet wykształconych jednostek. Syrokomla jest poetą narodowym, jakkolwiek w dziełach swych nie poruszał donioślejszego znaczenia kwestyi społecznych (z wyjątkiem kwestyi uwłaszczenia włościan, a poprzestawał tylko na malowaniu obrazków typowych, w których rzewnem uczuciem porywa i przywiązuje do siebie Czytelnika. Umiłowanie rodzinnego zakątka, życia cichego na wsi w gronie najbliższych przyjaciół, miłość przyrody wogóle i wielka miłość ludzi jest najbardziej charakterystyczną cechą poezyi Syrokomli, w których widzimy zawsze prostotę uczuć i myśli, a nierzadko humor i dowcip prawdziwy, aczkolwiek przebijający się często przez łzy cichego smutku rzewnego i głębszego bolu. Niesłychana łatwość wierszowania i często niedostatek, z którym poeta walczył całe życie, stały się przyczyną wielkiej jego płodności. Syrokomla napisał stosunkowo bardzo dużo utworów, wszakże niektóre z nich, pisane pod wpływem zewnętrznego nacisku, zarówno siłą poezyi jak i wykonaniem artystycznem nie wychodzą po za granice zwykłej mierności.

L. P.

Dola grajka.

Sielanka.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty
Siadł grajek wioskowy, na przyzbie u chaty,
I wierną skrzypicę wziął w ręce,
A w głowie snadź ważna to:zy się narada,
Coś brząka, coś mruczy — bo myśli układa
Strój nowy, do nowej piosenki.
I błądzi spojrzeniem ku niebu, ku ziemi,
Nad polem zielonem, nad strzechy wiejskiemi,
Kieruje ku lasom, ku rzeczce.
Wnuk przy nim chłopczyna, ciekawy a żywy,
Znalazłszy we drwalni dwa szczepy łuczywy
Grał niby na drugiej skrzypeczce.
Uśmiechnął się stary, podumał i milczy,
„Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy,
„Poczekaj! nic z tego nie będzie.
„To brzydka zabawka! to gra nie do rzeczy,
„Rzuć chłopcze tę trzaskę, bo rękę skaleczy.
„Skrzypice zaklęte narzędzie!
„Gdy raz ci do duszy przyrosną jej tony
„Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
„Młodości i sił twoich szkoda.
„Snu tobie nie będzie, tem gorzej, im dalej,
„Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali,
„A nikt ci napoju nie poda.
„Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię
„I będziesz po dworze przechadzać się sobie,
„Śpiewając oremus księdzowski.
„Jak kiedyś zastaniesz rozumny i duży,
„To może ci dola życzliwa posłuży,
„Że będziesz plebanem twej wioski.
„Lub baw się w żołnierza — weź kij mój sękaty,
„I hasaj dokoła stodoły i chaty;
„Jać szablę wystrugam z łuczywy.
„Jak pójdziesz do wojska, toć będzie do twarzy
„I mundur i kaszkiet od złota się żarzy.
„A rumak, kasztanek lub siwy.
„Szablica, ostroga, błyszczące ze stali,
„A wąsik runieje, a oko się pali,
„Dziewczęta ci z całej lgną włości.
„W gospodzie, czy w domu, na każdej zabawie,
„Ty jeden iej wiedziesz i głośno i żwawo,
„A każdy ci z chłopców zazdrości.
„Cóż z liry? cóż z pieśni? ej! marnie zaginie
„Ubogi syn pieśni, w ubogiej wioszczynie,
„I marną umęczy się pracą.
„Tu rzadkie obsiewki; dożynki, wesele,
„Tu chleba niewiele i zabaw nie wiele,
„Nie wiele grajkowi zapłacą."
— „Ej, dziadku, mój dziadku," odpowie mu wnucze
„Ot, ja cię dobrego sposobu nauczę:
„Rzuć wioskę, gdzie żyją nędzarze,
„Weź skrzypkę i pytaj gdzie ludzie bogaci;
„Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci
„I drogę do inszych pokaże.
„Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
„Tak pójdę na świecie; to wcale nie głupio,
„Obaczysz, jak mi się poszczęści."
— „O dziecię — rzekł stary — nie bluźnij w ohydzie,
„Niech raczej z pieśniami zaniemieć mi przyjdzie
„Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści.
„Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę,
„To serca grajkowi życzliwe i rade,
„Gospodarz najwyżej go mieści.
„I grajka obsiądą, słuchają z rozkoszą,
„I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą:
„Tu pieśnia w powadze i cześci.
„A w domu bogacza nie szukaj dusz bratnich:
„Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
„U progu ci chyba grać każą.
„Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
Westchnienia nie zbudzisz, bo duch u nich zimny;
„Z szyderczą słuchają cię twarzą.
„A kiedy na uczcie zapieni się wino,
„Sto razy pieśniarza służalcy pominą
„Nim puhar podadzą ci hardo.
„Gdy czasem bogacza napadnie szał pusty,
„On każe, byś zagrał piosenkę rozpusty
„I rzuci garść złota z pogardą."
Tu starzec złagodniał i wnuka pogłaska:
„Tak, chłopcze... bądź grajkiem! o Boże! Twa łaska
„Niech zawżdy na pomoc mu przyjdzie.
„Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę w twe ręce,
„Naprzód ją przeżegnam, w kościele poświęcę,
„Byś pieśni nie podał k'ohydzie.
„Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
„Bądź grajkiem poczciwych wioskowych nędzarzy,
„Jak ja sam przebyłem lat tyle."
Chłopczyna wysłuchał, co stary dziad gdera,
Podumał, zapłakał i oczki ociera,
I pobiegł — uganiać motyle.

W. Syrokomla.

Z teatru.

(„Podprefekt", krotochwila w 3 aktach przez Leona Gandillot.)

Przybyła do nas wodewilistka z Warszawy, p. Broccard, — i występuje w operetkach oraz lekkich farsach. Ujrzeliśmy p. Broccard w „Nitouche" i „Niobe", w końcu podziwialiśmy ją we francuzkiej krotochwili „Podprefekt." P. Broccard umiała od razu wdzięczną grą i uśmiechem pełnym powabu i czaru — ująć wybredną publiczność naszą. Przedewszystkiem posiada p. Broccard wszelkie zewnętrzne dane szczęśliwej artystki, tj. ujmującą powierzchowność — a nadto

nadzwyczaj miły, serdeczny głos, dużo werwy i humor niewyczerpany. Niedziw więc, że zdołała porwać i wprawić w szczery zachwyt nawet najwybredniejszą publiczność naszą.

Nie, moi państwo, — tragedya, pełne łez i klasycznych tyrad, dramaty, w których pod koniec nawet sufler kończy samobójstwem, — wszystko to jest cudowne i wzrusza nas ogromnie, ale operetka, — ach, operetka, to już więcej, jak wymarzyć mogliśmy! A jeszcze efekt nad efekty: galop końcowy: wytrzymaj, kto może, — ale publiczność nasza drętwieje wobec tego z estetycznej rozkoszy.

Zrozumiecie więc wszyscy państwo, którzy nie znacie p. Broccard, co to za artystka być musi, skoro nas wprawiła w taki zachwyt. W sobotniej krotochwili przypadła jej rola „podprefektowej,“ wcale niełatwa, a wywiązała się z niej wybornie; ale przepraszam, — opowiem pokrótce treść sztuki. Był sobie raz poczciwy wujaszek, który był bardzo bogaty, bardzo miał wielkie wpływy w ministeryum (rozumie się francuzkiem), był starym kawalerem i nosił białe kamasze (pan Lochman), a ponieważ był Francuzem, nazywał się Tisonier. — Wujaszek ten miał siostrzeńca, który był jego przeciwieństwem (p. Dąbrowski). Siostrzeniec Jerzy był młody, robił długi i kochał się w aktorce Simonecie (p. Broccard). Ponieważ mały Jerzy w Paryżu był dłużej niemożliwym, zrobił go wujaszek podprefektem w małej mieścinie. — Nieszczęście chciało, że mieścina ta leżała blisko Paryża, — a w Paryżu mieszkała Simoneta. — Jerzy więcej bawił w Paryżu niż w urzędzie. Pewnego razu wybrał się, jak zwykle, do Paryża. — A ponieważ i minister i wujaszek zakazali mu podobnych wyjazdów, wujaszek mu nawet zagroził wydziedziczeniem, Jerzy dał genialnemu służącemu swemu Leopoldowi (p. Czerniak) polecenie, aby nikomu nie zdradzał wyjazdu jego, przedewszystkiem nie naczelnikowi biura (p. Szczurkiewicz). Po wyjeździe Jerzego przyjeżdża Simoneta, chcąc mu przyjazdem swym zrobić niespodziankę, krótko po niej przybywa bardzo wysoka figura wojskowa, generał de la Charnière (p. Jakubowski), który rewidując garnizon, najwyższej władzy cywilnej złożyć chce swoje uszanowanie. Leopold, pragnąc koniecznie ukryć wyjazd pana swego, udaje przed generałem podprefekta, Simonetę przedstawia mu zaś jako swoją żonę. — Generał, zachwycony młodą, nadobną małżonką podprefekta, przedłuża swoję wizytę. Zostaje nawet na noc. Tymczasem w nocy wraca z wycieczki swej w przebraniu pan podprefekt. — Generał długo nie mogąc zasnąć, bo mu cudne wspomnienie podprefektowej sen spędza z powiek, — błądzi po całym domu, a zobaczywszy skradającego się ku fórtce mężczyznę, bierze go za złodzieja. Z pomocą adjutanta chwyta go i dopiero, kiedy go mają związać, wpada na domysł, że to może kochanek podprefektowej. — Puszcza go, ale nie-



Marya Broccard.

szczęsny Jerzy wpada w ręce komisarza policyi, który go jako złodzieja zamyka na całą noc w więzieniu. Na domiar złego zjeżdża i wujaszek. — W ten sposób wydaje się komedya Leopolda i Simonety. Podprefekt nabroiwszy swym wyjazdem tyle złego, byłby w normalnych stosunkach zgubionym. Ale p. Jerzy, który zdążył się podczas tego pojedynkować z dziennikarzem de Savare (p. Okornicki) za wujaszka swego, którego de Savare w dzienniku swoim obraził — zostaje prefektem.

Grano bardzo dobrze, choć tempo ogólne zbyt było wolne jak na lekką farsę.

P. Dąbrowski prezentował się wcale dobrze, lecz nieco sztywnie; — p. Jakubowski był znakomitym generałem, a pan Szczurkiewicz wybornym naczelnikiem biura! P. Czerniak jako Leopold grał doskonale i umiał śmieszność sytuacyi podtrzymać.

Panna Broccard w roli wesołej Paryżanki wprawiła urokiem postaci swej i wyborną grą w zachwyt nietylko starego generała francuskiego — ale wszystkich obecnych; głównym jej wdziękiem jest wielka swoboda na scenie; widać, że grając, bawi się sama wybornie. I tem gra jej robi wrażenie naturalności. Wdzięczna publiczność, licznie zgromadzona, nieszczędziła p. Broccard hucznych, nieprzerwanych oklasków.

Podnieść tu trzeba, że od czasu przybycia p. Broccard a raczej za każdym jej występem teatr nasz jest przepełnionym i sukces ten zawdzięcza dyrekcya teatru oczywiście p. Broccard, która w tak krótkim czasie umiała sobie zjednać szczere sympatye nawet wybrednej publiczności. — A zadowolić Szanowną Publiczność naszą — to chyba nie łatwo.

To też z szczerym żalem donosimy, że gościnne występy p. Broccard już w tych dniach się kończą. Donosimy o tem z żalem, bo artystka umiała sobie zdobyć dużo sympatyi w mieście naszem. Publiczność z chęcią dążyła na przedstawienia, gdy nazwisko panny Broccard było na afiszu, wiedziała bowiem publiczność nasza, że z panną Broccard wchodzi na scenę filuterna wesołość, która udzieli się także widzom. Żądała też publiczność od dawna polskiej operetki, dlatego też wdzięczność czuje dla dyrekcyi, że zaproszeniem p. Broccard, żądaniu jej zadość uczyniono. Nie przyczynia się wprawdzie muza wodewilowa do podniesienia poziomu sztuki, ale wiemy niestety z doświadczenia aż nadto dobrze, że wówczas kiedy na scenie naszej pojawiały się komedye poważniejsze i dramaty, dużo naszej młodzieży, zamiast iść do teatru polskiego, zapełniało niemieckie przybytki podkasanej muzy.

Wprowadzenie operetki na scenę naszą miało więc i to dobre, że wielu na czas pewien przynajmniej zaniechało zwiedzania „Apolinów“ i „Kaisergartenów.“ — My jesteśmy zdania, że skoro mamy swój teatr własny i skoro dyrekcya teatru stara się dogodzić wszelkim gustom publiczności, po prostu napiętnowania godnem jest uczęszczanie do niemieckich przybytków podkasanej muzy. — *W sobotę 10 bm. ukaże się panna Broccard w nowej sztuce, nader zajmującej, a u nas dotąd jeszcze wcale niegranej; będzie to zarazem wieczór benefisowy sympatycznej artystki i żywimy przekonanie, że teatr będzie przepełnionym od góry do dołu. Szanowna Publiczność zechce więc zapewnić sobie bilety zawczasu.* — W niedzielę ostatni występ p. Broccard. — Kto więc dotąd nie miał sposobności podziwiać wytwornej gry i czarującego uśmiechu panny Broccard, ten niech pospieszy do teatru, a z pewnością nie pożałuje tego. — A teraz żegnamy naszego gościa z szczerym żalem i z wyrażeniem nadziei, że może w przyszłym roku znowu będziemy mogli pannę Broccard powitać w murach grodu naszego. A więc: Do widzenia...

Redakcya „Pracy.“

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Powiedziałem, com miał do powiedzenia. Konsultacya już skończona. Teraz, gdy dałem wam do rąk nić przewodnią, waszą rzeczą rozplątywać jej zawikłanie. Pozwoli mi pan zatem wrócić do mojego syna. Widuję go tylko raz na tydzień, w niedzielę i ten dzień mnie się należy.

Szef policyi wstał, ale nie zabierał się do wyjścia.

— Czy pan masz mi co jeszcze do powiedzenia? — spytał pan Lecoq z pewnem zniecierpliwieniem.

— Mam, i to coś bardzo ważnego — odparł naczelnik z miną tajemniczą.

— Słucham.

— Kochany Lecoq , rady pańskie są tak cenne, że powinny iść na wagę złota, to też wdzięczny panu jestem serdecznie, żeś mi ich udzielił.

— Pochlebiasz mi. Muszę się mieć na baczności.

— To zbyteczne, bo zmierzam wprost do rzeczy. Wiadomo panu, że w sprawach policyjnych teorya jest niczem wobec praktyki. Otóż przychodzę pana prosić w imieniu prefekta policyi, czybyś pan nie zechciał sam poprowadzie tej sprawy? Jeżeli się na to zgodzisz, przyjmiemy wszelkie pańskie warunki.

— Ha! więc pan do tego zmierzałeś! Otóż miłe mi są takie dowody zaufania, ale nie mogę uczynić zadość tej prośbie, a zrozumiesz pan, dlaczego. Jak panu wiadomo, mam syna.

— Tak, wiem nawet, że masz pan prawo być z niego dumnym.

— Przyjmuję ten komplement, bo zasłużony. Jest to najszlachetniejszy, najrozsądniejszy chłopak pod słońcem. Wychowałem go, jak umiałem najlepiej; wyrobił sobie stanowisko i dziś jest na drodze do ożenku. Robi świetną partyę. Poślubia panienkę ładną, miłą, wykształconą, posażną, — kochają się serdecznie. Ślub ma się odbyć w przyszłym miesiącu. Widzisz pan zatem, że nie mogę obarczać się sprawą, któraby mi zajęła zbyt wiele czasu.

A zresztą, mój syn Ludwik, nie wie, że pracowałem w policyi, że zdobyłem majątek, ścigając łotrów. Pragnę, by się o tem nigdy nie dowiedział, choć wiem, że nawet w takim razie, nie wstydziłby się swego starego ojca, bo go kocha i wie, co wart. Ale pragnę mu oszczędzić przykrości, a pan sam wie najlepiej, że ludzie mają uprzedzenia do naszej policyi.

Nie mogę więc prowadzić śledztwa w chwili, gdy mam zabezpieczyć przyszłość mego syna. Spostrzegłby od razu, że w mojem życiu regularnem zaszła, jakaś zmiana. A więc niema już o czem mówić.

Pan potrafisz pokierować tą sprawą nie gorzej, a może nawet lepiej odemnie.

— Nie, kochany Lecoq. Stoimy wobec chińskiej łamigłówki i ręczę, że moi agenci stracą głowy. Dzienniki powikłają sprawę do reszty swojem wścibstwem. Trzebaby wmówić w prasę, żeśmy stracili zupełnie nadzieję odszukania winowajcy, trzebaby prowadzić śledztwo przez człowieka, nie należącego do policyi, człowieka niezwykle sprytnego, któregoby nikt się nie wystrzegał. Pan jeden jesteś takim człowiekiem.

— Bardzo mi pan pochlebiasz, lecz się mylisz. Jest jeszcze ktoś, tego możecie użyć, a kto posiada wszystkie, lub prawie wszystkie te warunki. Jest to ów były *detektyw*, co to przyjechał z Londynu w roku zeszłym. O ile wiem, oddał już wam nie jedną usługę. Wiesz pan, o kim mówię. Ma dwa nazwiska, wyjęte jakby z historycznego dykcyonarza.

— Tolbiac de Tichebray... Prefekt już o nim myślał, ale...

— Zdaje mi się, że byłby to wybór doskonały. Mówiono mi, że to człowiek bardzo inteligentny, bardzo czynny, bardzo sprytny. Ma fortunę niezależną, a to ważny punkt w zadaniu, wymagającem wielkiej uczciwości. Rzecz ważna i to, że jego stosunki z prefekturą znane są tylko głównym szefom. Ów Tolbiac jest przyjmowany w świecie, ma nawet powodzenie. Nie znajdziecie odpowiedniejszego człowieka do sprawy tak drażliwej.

Prawda, wszak to on w roku zeszłym odkrył sprawcę zbrodni przy ulicy Sabot, recydywistę, który czas trawił z damami z półświatka i przy zielonym stoliku?

— Tak, manewrował w tej sprawie bardzo zręcznie, a jego stosunki w półświatku dopomogły nam bardzo do wynalezienia przestępcy, któregośmy szukali przez rok cały. Natomiast nic nie wskórał, gdy chodziło o kradzież brylantów owej księżnej hiszpańskiej.

— Nie zawsze starania, bodaj najzręczniejsze, osiągają skutek. Pewny jestem, że tym razem lepiej mu się uda. Czy masz pan co przeciw niemu?

— Właściwie nic, lecz nie wzbudza w nas zupełnego zaufania. Nikt nie wie, dlaczego opuścił Anglię; nie posiadamy dostatecznych informacyi o jego przeszłości.

— Oczywiście jego szlachectwo nie sięga epoki wojen krzyżowych, lecz nie możemy się spodziewać, by w policyi służyli parowie Francyi; to tak, jak gdyby kucharz przyrządzał potrawy w białych rękawiczkach. Wierzaj mi pan, Tolbiac jest człowiekiem, stworzonym jakby do tej sprawy.

— Będziemy musieli go użyć, radzi nie radzi, skoro pan nas opuszczasz, mój drogi Lecoq. Pomówię o nim z prefektem. Ale przedewszystkiem usłucham pańskiej rady i wypuszczę głuchoniemego na wolność.

— Im wcześniej, tem lepiej.

— Lecę w tej chwili do prefektury. Za kwadrans ptaszek będzie na swobodzie. Mam właśnie pod ręką dwóch najsprytniejszych agentów. Przyjdę panu oznajmić o rezultacie.

— Zastaniesz mnie pan tu codziennie, z wyjątkiem niedziel — odparł p. Lecoq z uśmiechem. — Przepraszam pana Ludwik niecierpliwi się już zapewne. Jedziemy za godzinę do Boulogne, do jego narzeczonej.

Szef policyi zrozumiał, że już nic więcej nie wskóra. Ścisnął rękę starego przyjaciela i udał się do prefektury, aby spróbować sposobu, zaleconego przez najsprytniejszego z policyantów, jacy byli, są, i będą.

ROZDZIAŁ III.

Wyszedłszy od p. Lecoqa, szef policyi tajnej podążył natychmiast do prefektury i zdołał przekonać sędziego śledczego i prefekta, by wzięli na pomoc pana Tolbiaca de Tichebray.

I pod innemi względami usłuchano p. Lecoqa: nie skonfrontowano głuchoniemego ze zwłokami.

Niemowa spał snem sprawiedliwego i nie domyślał się zapewne, że go posądzają o zbrodnię, więc można było liczyć, że wpadnie w zastawioną pułapkę.

Nie zdziwił się ani przestraszył, gdy z aresztu przeprowadzono go do więzienia. Patrzał obojętnie na żandarmów, na dozorców, na wielkie klucze i zamki. Zdawał się nie rozumieć, że go pakują do więzienia, że może całe życie w niem spędzi i czuł się w niem, jak w domu.

Był uszczęśliwiony, gdy go zamknęli w obszernej i widnej celi; przyglądał się ciekawie sprzętom, jak gdyby w życiu swojem nic równie wspaniałego nie widział. Łóżko zwłaszcza przejmowało go zachwytem. Nie śmiał się na niem położyć; dozorca musiał go zachęcać. Lecz gdy się raz wyciągnął na sienniku, odrazu usnął i zaczął chrapać, świstać i syczeć.

Dozorcy, wiedząc o co chodzi, nie mogli się wydziwić takiemu spokojowi podsądnego i powiadali, że nie zdarzyło im się jeszcze mieć do czynienia z łotrem tak wytrawnym.

Dyrektor więzienia przypuszczał, że ten chłopak jest albo idyotą, albo waryatem. Zdania tego nie dzielił szef policyi, zadawały też kłam takiej opinii oczy niemowy.

Z oczu tych biła słodycz, a zarazem smutek i bystrość.

Wreszcie użyto fortelu, zalecanego przez p. Lecoqa.

Szef policyi wybrał dwóch najsprytniejszych agentów, n-ra 29 i 33, wytłómaczył im w kilku słowach, o co chodzi, i kazał im się przebrać i zmienić powierzchowność.

Nr. 33-ci był dymisjonowanym żołnierzem, nazywał się Pigache; już od lat dziesięciu służył w policyi; szefowie używali go do niebezpiecznych wypraw.

On to aresztował złoczyńców, o których wiedziano, że mogą się bronić nożem. Odznaczał się wzrostem, powagą i siłą, przytem bardzo przebiegły, umiał wybornie tropić przestępców.

Pigache jednak pod względem sprytu ustępował swojemu koledze Piédouche, numerowi 29-mu, jak go nazywano w prefekturze.

Piédouche służył także wojskowo, lecz w piechocie marynarki i nie był podobny do Pigacha.

Mały, chuderlawy, nie mógłby się bronić w razie napaści, ale zwinność i zręczność zastępowały mu siłę.

Wsławił się taką sztuczką. Pewnego dnia dwóch sierżantów staczało walkę z czterema włóczęgami, którzy odnosili już zwycięstwo. Nagle Pigache wsunął im się pomiędzy nogi i spętał ich tak szybko, że nie obejrzeli się nawet, jak już byli obezwładnieni.

Cienki, jak nitka jedwabna, przebiegły, jak lis, a przytem zamiłowany w swoim zawodzie, znał wszystkie sposoby używane i nieraz nowe wymyślał.

Miał jeszczę tę zaletę, że jego twarz była bez wąsa, ruchoma, nadawała się wybornie do wszelkich przeistoczeń. Jemu to polecano misye drażliwe, naprzykład śledzenie podejrzanych kasyerów, poszukiwanie ojców rodzin, znikających w nurtach półświata, stwierdzanie szantażów itd.

Piédouche umiał, wedle potrzeby, zmienić się we *franta* lub w dobrodusznego jegomościa. Celował w łapaniu szulerów na gorącym uczynku. Kilkakrotnie pomagał p. Lecoqowi w trudnych wyprawach i miał dla niego uwielbienie.

Obaj agenci znali *sprawę damy pikowej*, tak bowiem nazywano w prefekturze tę straszną zbrodnię. Obu agentom pochlebiało wielce, że na nich właśnie padł wybór; można więc było liczyć, że zabiorą się do wykrycia mordercy nietylko z zapałem, ale z namiętnością.

W mgnieniu oka przebrali się: Pigache za siłacza z hall, Piédouche za łobuza, i stanęli przy obu wyjściach więzienia Sainte Chapelle: nr. 33 przy drzwiach, wychodzących na bulwar du Palais, nr. 29 u drzwi zewnętrznych do kurytarza, prowadzącego na *Quai des Orfévres*.

Ma się rozumieć, umówili się wpierw, że się spotkają, skoro tylko tropiony chłopak obierze drogę.

Skoro obaj zajęli swe stanowiska, szef policyi kazał otworzyć celę, w której głuchoniemy spał wciąż w najlepsze.

Musiano go szarpać, tarmosić, zanim się obudził.

— Zostałeś wpakowany do więzienia przez pomyłkę, mój chłopcze — rzekł mu szef policyi tajnej, odgrywając komedyę tylko dla formy, bo był pewny, że więzień nie słyszy. — Możesz sobie iść — dodał.

Chłopak przetarł sobie oczy, wstał, bo go wzięto za kołnierz i rozejrzał się z miną głupkowatą.

Zaprowadzono go do kancelaryi, oddano mu jego siedm soldów, kozik i kawał węgla, poczem otworzono przed nim drzwi więzienia i wyprowadzono na ulicę.

Tymczasem szef policyi poszedł na drugie piętro i wyglądał przez sztory okna, wychodzącego na ulicę.

Widział, jak głuchoniemy wyszedł krokiem niepewnym, zatrzymał się na podwórku, rozglądał się, przypatrywał złotej strzałce na Sainte Chapelle, potem powiódł dokoła spojrzeniem, jak człowiek, który nie może się zoryentować i po długim wahaniu zwrócił się wreszcie na Quai des Orfévres.

Szef policyi wewnętrznemi kurytarzami wyszedł na tę ulicę nadbrzeżną.

Zaledwie się na niej znalazł, ujrzał Piédoucha, stojącego u poręczy mostu i przyglądającego się dwom ludziom, łowiącym ryby na wędkę.

W pewnej odległości, na rogu mostu Saint-Michel dostrzegł Pigacha, idącego z miną łobuza.

Głuchoniemy stał na środku drogi i nie wiedział widocznie, dokąd się zwrócić.

Tymczasem szef policyi zdążał ku Pont-Neuf i zajął punkt obserwacyjny na rogu.

Głuchoniemy nie ruszał sie z miejsca.

— Ho! Ho! — myślał szef policyi. — Ojciec Lecoq strzelił bąka. Ten człowiek przebieglejszy, niż nam się zdawało. Czyżby domyślał się, że ów łobuz w niebieskiej bluzie jest jednym z naszych numerów? Chyba nie, bo spojrzał nawet na niego. Stanowczo, to idyota, jeśli nie hultaj pierwszej wody.

Po półgodzinnem staniu głuchoniemy ruszył wreszcie z miejsca, ale po to tylko, by wrócić na podwórze Sainte Chapelle.

Pigache szedł za nim w pewnej odległości. Szef widział go w dziesięć minut potem rozmawiającego z Piédouchem, który podążył natychmiast w stronę Pont-Neuf. Nie zatrzymując się przed swoim zwierzchnikiem, rzucił mu po drodze te słowa:

— Śledzony powrócił do więzienia. Główny dozorca pyta, co dalej robić.

— Powiedz mu, by czekał na moje rozkazy — brzmiała odpowiedź.

Numer 29 zawrócił się; jego szef pozostał na miejscu. Wahał się właśnie, co począć wobec tej niespodziewanej komplikacyi, gdy ujrzał przed sobą p. Lecoq, idącego pod rękę z jakimś młodzieńcem.

— W samą porę się zjawia — mruknął szef. — On nabił mi pistolet złym prochem, musi więc dostarczyć mi lepszej amunicyi, albo przyznać, że jego pomysł nic nie wart.

Ale staruszek przechodził, udając, że nie widzi i nie poznaje szefa policyi.

— Ten wysoki brunet, to pewno jego syn — myślał szef. — Stary będzie zły, że go zaczepię wobec niego, ale trudno. Ciekaw też jestem, jak on się z tego wykręci. Zresztą i ja nie przystąpię wprost do rzeczy.

Stanął w ten sposób, by zagrodzić przejście i uchylając kapelusza, rzekł z całą uprzejmością:

— Poczekaj na mnie, Ludwiku — rzekł p. Lecoq, wysuwając rękę z pod ramienia syna i odchodząc na bok z szefem policyi.

— Mógłbyś pan oszczędzić mi tej konferencyi na drodze publicznej — rzekł do niego stając przy poręczy mostu. — Mówiłem panu przed godziną, że zależy mi na tem, by mój syn nie wiedział o moich stosunkach z policyą.

— Przepraszam cię kochany Lecoqu, ale chodzi o rzecz bardzo ważną...

— No, to mów, ale prędko. Mamy właśnie wsiadać na statek, odchodzący do Saint-Cloud; jeśli mnie pan dłużej zatrzymasz, nie zdążymy.

— Oto rzecz w dwóch słowach: Przed chwilą kazałem wypuścić na wolność głuchoniemego, tak jak mi pan radziłeś. Stał dwadzieścia minut na ulicy, wreszcie powrócił do więzienia.

— Ho! Ho! — rzekł dymisyonowany policyant strzygąc uchem, jak koń wojskowy, gdy go dźwięk trąby doleci. — To dopiero sprytny ptaszek! Sprytniejszy daleko, niż myślałem... chyba, że...

Pan Lecoq zastanowił się.

— Weszliśmy na drogę niewłaściwą — rzekł po chwili. — Ten głuchoniemy wrócił do więzienia, dlatego poprostu, że nie zna Paryża i nie wie, dokąd iść.

— A zatem pański fortel nic nie wart i jesteśmy znowu w kłopocie.

— Jest może na to sposób.

— Mów pan.

— Jak przetransportowaliście niemego z aresztu do więzienia?

— W karecie więziennej.

— A zatem nie widział drogi. Otóż zawieźcie go tą samą karetką do policyjnego cyrkułu, niech brygadyer wypuści go potem i każe odprowadzić dwom żandarmom na miejsce, gdzie go aresztowano. Tu go zostawią i odejdą, nie oglądając się wcale... Jakim agentom kazaliście go tropić?

— Pigachowi i Piédouche'owi.

— Wybór doskonały. Otóż agenci pójdą naprzód i będą krążyli po ulicy Corvisart; w ten sposób będą mogli wiedzieć, co robi niemowa. Zdaje mi się, że teraz pozna drogę.

— A ja myślę, że będzie się miał na baczności.

— Jeżeli jest winnym — to tak; a wówczas nic nie wskóracie. Jeżeli zaś, jak sądzę, był tylko narzędziem nieświadomem, to was zaprowadzi na miejsce zbrodni.

— Rzecz wątpliwa, wolałbym...

— Przepraszam — rzekł p. Lecoq, robiąc pół obrotu, by się złączyć z synem — nie mam chwili do stracenia, spóźniłbym się na statek. A czekają na nas w Boulogne. Moje uszanowanie panu.

Odszedł szybkim krokiem.

— Staruszek w piętkę goni — myślał szef. — Jego fortel diabła wart. Ale nie zawadzi spróbować, zresztą lepszego sposobu nie znajduję. Jeżeli głuchoniemy nie da się wziąć na wędkę, to pozostanie nam jedynie konfrontacya w Mordze...

Ha! spróbuję sposobu Lecoqa; jeśli się nie uda, wezmę Tolbiaca i jemu tę sprawę poruczę. Nie jest to człowiek pewny, ale będziemy mieli go na oku.

Powziąwszy taką decyzyę, szef policyi spełnił ją natychmiast.

Numery 29 i 33 wyprawiono na ulicę Champ de l'Alouette. Głuchoniemego wpakowano do karetki więziennej, zwanej pospolicie „koszykiem z żałobą“ i odwieziono go do cyrkułu des Gobelins.

Szef policyi wsiadł do dorożki, a gdy pojechała do rogu bulwaru Arago i ulicy Oureine, kazał jej stanąć.

Chciał przyjrzeć się z oddali i uznał, że to będzie najlepszy punkt obserwacyjny.

Głuchoniemy został aresztowany w chwili, gdy wychodził z ulicy Oureine. Jeżeli pójdzie tą samą drogą, to będzie musiał przechodzić obok fiakra.

Niemowa nie stawiał oporu, dał się wsadzić do karety i odwieść do cyrkułu. Brygadier palnął mówkę, która miała podsycić nadzieję w więźniu i oddał go w ręce dwóch sierżantów, mówiąc:

— Uwolnijcie mnie od tego włóczęgi, zawieźcie go tak daleko, by już nam nie przyczyniał kłopotu.

Podsądny widocznie nie słyszał tych słów, obliczonych na wzbudzenie w nim nadziei, szedł posłusznie pomiędzy sierżantami, którzy podążyli przez ulicę Croulebarbe, potem przez ulicę Corvisart i wreszcie porzucili go, mówiąc:

— Szczęśliwej drogi, a staraj się nam zejść z oczu.

Piédouche, przebrany za łobuza, błąkał się po ulicy des Cordelie'res, Pigache palił fajkę pod daszkiem garbarni, na rogu ulicy Champ de l'Alouette.

Mróz był siarczysty. Ulica pusta; całe życie skupiło się w szynkach.

Agenci mogli więc swobodnie obserwować każde poruszenie niemowy i tak się urządzili, by ich nie dostrzegł.

Głuchoniemy powiódł naprzód okiem za oddalającymi się żandarmami, potem stanął przy murze jakiegoś ogrodu i obejrzał się dokoła.

Agenci obawiali się, by nie utkwił tam, jak przy Quai d'Orfévre, bo długi czas nie ruszał się z miejsca.

Lecz po kilku minutach skierował się ku domowi narożnemu przy zbiegu ulic Corvisart i Pascal, obejrzał cegły w murze, ucieszył się widocznie i już bez wahania począł iść ku bulwarowi Arago.

Numery 29 i 33 pozwoliły mu się oddalić i posunęły za nim.

— A! hultaj! — szepnął Piédouche, mijając dom narożny — naznaczył ścianę. Dlatego to miał węgiel w kieszeni. Teraz odnajdzie drogę i zaprowadzi nas wprost na miejsce zbrodni. Pryncypał się ucieszy.

Pryncypał, istotnie rad wielce, przez spuszczone szyby śledził kroki głuchoniemego, który szedł z wielką pewnością, jak człowiek, który wie, dokąd zmierza.

Agenci kroczyli za nim, każdy z osobna. Stanęli, gdy niemy stanął, tuż przy szpitalu Oureine, o jakie dziesięć kroków przed dorożką szefa.

Głuchoniemy był widocznie w kłopocie, chodził od jednego rogu do drugiego.

Wreszcie zdecydował się przejść bulwar i zagłębił się w ulicę Oureine, wychodzącą wprost na ulicę Corvisart. Szedł nią bez wahania aż do bulwaru Port-Royal. Tu znowu stanął.

Widocznie duże przestrzenie napełniały go obawą.

Dorożka toczyła się śladem agentów.

Wreszcie niemowa, przyjrzawszy się murom, poszedł prosto przed siebie, następnie skręcił na lewo w uliczkę, zwaną des Lyonnais.

Szedł nią aż do ulicy Bertholiet, biegnącej wzdłuż ogrodów Val de Grâces, potem znowu skręcił na prawo, w wąziutką uliczkę de l'Arbalète, która zbiega się z ulicą Mauffetard, przerznąwszy ul. des Feuillantines.

Całą tę drogę odbył szybko, widocznie stąpał po znanym gruncie.

Agenci byli uszczęśliwieni, a radość ich dosięgła szczytu, gdy ujrzeli, że się zatrzymuje przed fórtą domu na wprost ulicy Lhommond, przygląda się bacznie temu domowi i wreszcie pociąga za dzwonek.

Pigache stanął na przeciwległym chodniku, Piédouche odszedł trochę dalej i zaczaił się na rogu ulicy Lhommond.

Dowódca wyprawy wysiadł z dorożki i zmierzał powoli do fórty.

Głuchoniemy wciąż dzwonił, nikt nie przychodził mu otwierać.

Szef policyi zwrócił się do węglarki, która stała na progu swojego sklepiku, gdyż podchodząc, słyszał jak mówiła:

— Dzwoń, ile chcesz, mój chłopcze. Nikt ci nie otworzy!

— Czy dom jest pusty? — zagadnął naczelnik.

— Lokatorka musiała się chyba wyprowadzić w nocy — brzmiała odpowiedź, — bo dziś rano nie widziałam panny służącej.

— Jest więc panna służąca — pomyślał szef; — dobrze o tem wiedzieć.

— Jeżeli panią pytam, — rzekł głośno do węglarki — to dlatego, że widzę, jak ten chłopak się dobija. Trzebaby mu powiedzieć, że dom pusty.

— Sam się domyśli. Zresztą nie ręczę, czy dama wyprowadziła się istotnie. Wczoraj służąca mówiła „mojemu“, że wyjeżdża ze swoją panią do kraju Anglików, że pojadą w nocy. Ja w nocy spałam, więc nie wiem...

— Czy pani nie zna tego chłopca, co się tak dodzwonić nie może?

— Pierwszy raz widzę go na oczy — odpowiedziała, zdziwiona tylu pytaniami.

— Może on się omylił. Pójdę go zapytać.

Odszedł i podążył wprost do niemowy, który go nie dostrzegał, tak był zajęty dzwonieniem.

Szef policyi uderzył go po ramieniu. Chłopak odwrócił się i zdziwił, widząc przed sobą człowieka, który tak długo trzymał go na cenzurowanem. Zdziwił się, ale nie przestraszył.

— Oto jest dowód najlepszy, — pomyślał naczelnik — że Lecoq miał jednak słuszność: ten człowiek nic nie wie o morderstwie. Ale nas zaprowadził do jaskini zbrodniarzy. Trzeba teraz postępować bardzo ostrożnie.

Wziął głuchoniemego za rękę i zaprowadził go do dorożki, wsadził w nią, poczem skinął na numer 33 i kazał mu usiąść przy nim i nie spuszczać go z oka.

Potem podszedł do Piédoucha i polecił mu stanąć przy furcie.

— Wejdę sam — rzekł. — Jeżeli fórta zamknięta, pójdziesz po ślusarza, ale ręczę, że otwarta. Zostań tu i przyjdź dopiero, gdy gwizdnę.

— A wy — dodał, zwracając się do węglarki — pamiętajcie pary z ust nie puszczać. Jestem szefem policyi. Zostanie tutaj agent, który was będzie pilnował. Wrócę za chwilę, by się od was szczegółów dowiedzieć.

Rozpiął palto i pokazał jej trójkolorową wstążeczkę.

Na widok tego znaczka, przestraszona kobieta cofnęła się do sklepu.

— Miejże oko na wszystko -- rzekł naczelnik do Piédoucha.

Powrócił do fórty i przyglądał się bacznie domowi.

Był to jednopiętrowy pawilon, oddzielony obszernem podwórzem od ulicy. Wychodziły na nią trzy okna. Żaluzje nie były zamknięte; można się było domyślić, że dom jest pusty po tem jedynie, że dym nie wychodził z dwóch ceglanych kominów.

Szef obejrzał śnieżną powłokę, ślady rysowały się najwyraźniej. Przestępcy pozostawili je od fórty aż do drzwi wchodowych. Mróz zachował je wybornie.

Znać było cztery ślady: dwa głęboko odciśnięte dużej nogi, dwa, mniej wyraźnie zaznaczone, stopy mniejszej, wytwornie obutej, ale męskiej.

Ślady dużej nogi biegły tuż obok małej, pierwsze po prawej stronie, drugie po lewej, lecz i jedne i drugie zdążały do podjazdu i rzecz dziwna, szły od domu do ulicy.

Dwóch ludzi wyszło, ale nikt nie wszedł.

— To niepojęte — myślał naczelnik — gdyż oba ślady utworzone są przez te same kroki. Nie podobna wyjść, gdy się nie weszło. Chyba że dom ma drugie schody. Trzeba to sprawdzić. Bądź co bądź duże ślady pozostawił widocznie głuchoniemy. Ma nogi olbrzymie i buty podkute. Widzę odbicie gwoździ na śniegu. Drugie ślady są odbiciem nóg mordercy. Miał cienkie buciki z wysokiemi obcasami. Trzeba będzie odcisnąć te ślady w glinie.

— A teraz zobaczymy, czy ślusarz będzie potrzebny — dodał, kładąc rękę na mosiężnej rączce fórty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM III.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY.

Sprawa zaczyna się wyjaśniać.

Gryce nie wierzył bynajmniej w to, że Iwona była u wdowy owego dnia rano, więc też słowa, które Mansell słyszał, nie mogły się odnosić do jego ożenku. Pani Klimmer miała bezwątpienia zupełnie kogoś innego na myśli, a tym innym nie był nikt, jak — Orkutt!

— Nie pozwolę na to, póki żyję!

Tak mówiła wdowa, musiała zatem mieć tyle władzy nad Orkuttem, że mogła rozporządzać jego zamiarami. Tajemniczy jakiś węzeł istniał pomiędzy biedną, samotną kobietą a sławnym i uczonym adwokatem, ale jaki? Czy znała może tak dokładnie jego przeszłość i groziła zdradzeniem jakiej tajemnicy w razie, gdyby się chciał żenić wbrew jej woli? Rozwiązanie tej zagadki było teraz najważniejszą czynnością Gryca, na tem bowiem jedynie opierało się wykrycie prawdy.

Wszystko to, co zeznali Mansell i Hildret, zgadzało się wybornie. Gdy Orkutt wszedł do mieszkania wdowy, znalazł wolne pole i korzystną sposobność do wykonania swego zamiaru. Jedno tylko pozostało niewyjaśnionem, to jest, jakim sposobem dostał się pierścionek do pokoju? Morderca musiał go mieć na palcu, słowa bowiem umierającej: „ręka i pierścionek“ najlepszym tego były dowodem.

Gryce nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Pierścionek ów znajdował się najpierw w kieszeni paletota Mansella, a ponieważ Mansell o tem nie wiedział, przeto mógł go zgubić, ale gdzie i kiedy? Wszakże w jadalnym pokoju nie był wcale! Może pierścionek wypadł z kieszeni na drogę, Mansell przypomniał bowiem sobie, że zbliżając się do domu wdowy, zdjął paletot i przewiesił go przez ramię. Gdyby więc wypadł rzeczywiście, to podniósł go ten, który pierwszy szedł tą samą drogą, a więc Orkutt! Czy tak jednak było istotnie? Gryce postanowił zapytać o to Byrda.

— Stałeś pan z adwokatami przed gmachem sądowym, rzekł, i patrzałeś na Orkutta, idącego ku domowi pani Klimmer. Nie zauważyłeś pan, czy stanął, lub czy się obejrzał?

— Nie, schylił się tylko raz szybko, jak gdyby coś podniósł!

— Doprawdy? zawołał Gryce uradowany.

— Tak, przypominam to sobie bardzo dokładnie!

Gryce pobiegł natychmiast do Ferrisa, i zadał mu to samo pytanie.

— Widziałem, odpowiedział adwokat, że Orkutt schylił się po coś, ale zaraz potem szedł dalej!

— A więc podniósł ów pierścień brylantowy! Teraz wiem, jakim sposobem znaleziono go w pokoju pani Klimmer!

Ferris słuchał uważnie wyjaśnienia policyanta, którego przenikliwość była rzeczywiście zdumiewającą. Ale poznał też zaraz, że podejrzenie jego przybiera coraz to pewniejszą formę, i że wina Orkutta przybiera coraz to pewniejszą formę i że wina Orkuta staje się coraz to jawniejszą.

— Ale jakim sposobem znaleziono pierścionek na dywanie? zapytał usiłując bronić jeszcze przyjaciela.

— Orkutt wsunął go na palec, po wykonaniu zaś zbrodni albo go zgubił, albo chcąc na kogoś innego zwrócić podejrzenie, rzucił go na ziemię. Co się musiało dziać w jego sercu, gdy panna Dare oświadczyła, że pierścionek ten jest jej własnością!

Ferris przypomniał sobie bardzo dobrze przerażenie jego. Obawiał się widocznie, że Iwona domyśla się. kto był mordercą wdowy. Gryce odgadł myśli adwokata.

— Orkutt drżał ze strachu, rzekł teraz, aby panna Dare nie podejrzywała go o popełnienie tej zbrodni. Dlatego podjął się obrony oskarżonego i żądał jej ręki, a czynił to wszystko, aby się przekonać, czy ona nie uważa go za winnego.

— Przedstawiasz go pan jako prawdziwego złoczyńcę! zawołał Ferris rozgniewany.

— Takim też był rzeczywiście!

— I dlaczego zabił wdowę?

— Z miłości dla panny Dare, o tem jestem przekonanym, nie wiem tylko jeszcze, o ile od niej zależał. Pani Klimmer stała mu w drodze, a więc usunął ją!

— Nie uwierzę prędzej, dopóki mi pan tego nie dowiedziesz, rzekł Ferris.

Gryce uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI.

Narada.

Z tem wszystkiem wiedział on, że zadanie jego wcale łatwem nie było, bo chociaż sam był przekonanym o winie Orkuta, to świat jednak żądał dowodów! Wezwał więc Hickorego i Byrda, aby się z nimi naradzić co do dalszego ich postępowania.

— Pani Klimmer musiała w życiu Orkutta ważną odgrywać rolę, zaczął poważnie. Może znała jaką tajemnicę z jego przeszłości. Nie słyszeliście nic o tem?

— Rozmawiałem z rozmaitymi ludźmi o nim, odrzekł Byrd, ale nikt o czemś podobnem nie wspominał. Od kobiet trzymał się zawsze zdaleka i dopiero gdy poznał pannę Dare, pomyślał o ożenieniu się!

— Od kiedy mieszkała tu pani Klimmer?

— Od dwunastu lat!

— A on?

— Od piętnastu.

— Zkąd się sprowadził?

— Z jakiegoś miasta z Stanu Nebraska.

— Pani Klimmer także ztamtąd?

— Z Stanu Nebraska także, ale nie wiem, czy z tego samego miasta.

— Musimy się koniecznie o tem dowiedzieć, rzekł Gryce. Nie wiesz pan, gdzie odbywał studya i czy był już znanym adwokatem, zanim przybył do Sibley?

— Nie, tutaj dopiero rozpoczął praktykę, odezwał się Hickory. Poprzednio był pomocnikiem adwokata w jakiemś małem mieście na Zachodzie.

— Może tajemnica jego życia pochodzi z tych czasów, rzekł Gryce zamyślony. Od dziesięciu lat składała pani Klimmer co tydzień pewną sumę do kasy oszczędności. Pieniądze te dawał jej naturalnie Orkutt, ale za co? Za obiady? Nie, dla okupienia jej milczenia!

— Więc trzeba poznać jego przeszłość, zawołał Byrd.

— Tak! Zajmijcie się panowie tem, ja zaś będę się starał zbadać przeszłość wdowy!

Gryce udał się najpierw do mieszkania Orkutta i przejrzał wszystkie jego papiery, ale daremnie. W mieszkaniu wdowy nie lepiej mu się powiodło, z listów jednak, jakie tu znalazł, poznał, że ukrywała ona starannie swoją przeszłość, i to z powodu jakiejś tajemnicy. Ostatnią nadzieją Gryca była teraz jeszcze panna Emilia Firman, jedyna osoba, która znała wdowę przed jej przybyciem do Sibley. Panna Firman zeznała raz już wprawdzie przed sądem wszystko, co wiedziała, ale Gryce był tego zdania, że żadna studnia nie jest tak próżną, aby nie zostało w niej jeszcze kilka kropli wody. Trzeba tylko umieć je wycisnąć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI.

Pani Firman.

Panna Emilia Firman stała właśnie przy oknie w swym mieszkalnym pokoju i podlewała kwiaty, gdy Gryce ukazał się na progu.

— Nazwisko moje nie jest pani może obcem, rzekł, przedstawiwszy się. — Pani zaś, o ile wiem, jesteś kuzynką zamordowanej wdowy Klimmer w Sibley. Pragniesz naturalnie, aby wykryto mordercę, a że i tego pragnę, więc życzenia nasze są zgodne, nieprawdaż?

Emilja Firman zrozumiała go natychmiast.

— Pan jesteś agentem policyi, zawołała. — Czy Eryk Mansell został uwolnionym?

— Wyrok nie zapadł jeszcze!

— Więc czem mogę panu służyć? — rzekła, posuwając mu krzesło.

— Zaraz to pani powiem. Wszakże uważasz Mansella za niewinnego?

— Naturalnie, i cieszę się, że pan tego samego jesteś zdania. Eryk nie byłby synem swej matki, gdyby miał coś podobnego popełnić. Ale dowody świadczą przeciw niemu, zkąd więc pochodzi, że pan wierzysz w jego niewinność?

— Rozmawiałem z nim i z panną Dare, i byłem obecnym śmierci jego obrońcy.

— Orkutta? Ale cóż to może mieć wspólnego z zbrodnią?

— Więc pani nie znałaś go? zapytał rozczarowany jej ostatniemi słowami. — Wszakże on bywał codziennie w domu twej kuzynki. Nie byłaś pani nigdy u niej, w Sibley?

— Owszem, raz, i poznałam tam nawet pana Orkutta, ale nie rozmawiałam z nim wcale.

— Był on pewnie dumny i nieprzystępny?

— Ach nie!

Gryce westchnął. W tej studni nie było rzeczywiście już ani jednej kropli!

— Czemu pytasz pan o Orkutta? zaczęła znowu panna Emilia. — Czy śmierć jego wywarła jaki wpływ na proces Eryka?

— Tak, tak, o to właśnie chodzi, zawołał Gryce żywo! — Kiedy i gdzie poznała pani Klimmer Orkutta?

— Nie wiem, myślałam że dopiero w Sibley.

— Ale pochodzili oni oboje z Stanu Nebraska, może się więc tam już znali.

— Moja kuzynka nigdy mi o tem nie wspominała.

— Gryce zaczynał się niecierpliwić.

— Wszakże urodziła się ona i wychowała w Toledo?

— Tak. Rodzice jej umarli wcześnie, musiała więc pracować sama na życie. W jakimś hotelu w Swanson przyjęła miejsce gospodyni i była tam dosyć długo.

— Więc jednak w Nebraska! Czy została na miejscu tem aż do swego zamążpójścia?

— Zdaje mi się, nie rozmawiałam z nią nigdy o tem, bo wspomnienie męża sprawiało jej zawsze bardzo wielką przykrość.

— Czemu?

— Straciła go w kilka miesięcy po ślubie.

— Nie znasz pani bliższych szczegółów tej śmierci?

— Nie, może moja matka mogłaby coś o tem powiedzieć, ale nie można jej pytać, bo jest chorą i bardzo już starą, i wszelkie pytania rozdrażniają niezmiernie jej nerwy.

— Ale matka pani zna historyą morderstwa wdowy i wie o śmierci Orkutta?

— O tak, każe mi nawet czytać codziennie gazety i pyta, czy nie ma wiadomości z Sibley. Okropna śmierć Orkutta przeraziła ją tak straszliwie, że unikam starannie wszelkiego wspomnienia o tem. Zdawało mi się, że zmysły postrada! I od tego czasu ogarnia ją często jakiś gorączkowy niepokój, rzuca się na łóżku, rozmawia z ludźmi, których nie znam, i którzy zapewne istnieją w jej tylko wyobraźni, i mówi często zamiast Dorota Klimmer, Dorota Orkutt. Wczoraj rozumiałam wyraźnie te słowa: „Doroto, czemu powierzyłaś mnie twoją tajemnicę, mogłaś ją lepiej powierzyć Emilii. Muszę teraz milczeć i nie powiedzieć nikomu, że właściwie pani Orkutt.....“ dalszych słów nie zrozumiałam już.

Gryce ledwie nie podskoczył z radości. W studni zaczynały się ukazywać liczne krople wody!

— Bardzo to dla mnie ważne odkrycie, zawołał, — bo wierzaj mi pani, mordercą wdowy nie jest nikt inny, jak — Orkutt!

— Nie może być!

— Tak jest napewno!

— Więc moja matka ukrywa przedemną jakąś tajemnicę, która ją dręczy niezmiernie. Ah, teraz domyślam się wszystkiego! Matka posiada małą paczkę listów, której strzeże, jak oka w głowie, i odkąd leży w łóżku, znajduje się paczka ta pod jej poduszką. Sądziłam, że to listy mego ojca, ale.....

— Nie mogłabyś pani wyjąć tych listów?

— Czemu?

— Aby ocalić Mansella! Może w paczce tej znajduje się świadectwo ślubu Orkutta i pani Klimmer, a gdyby tak było rzeczywiście, to udowodniłbym z łatwością niewinność Mansella!

— Dorota — żoną Orkutta! zawołała panna Emilia przerażona. — Co pan mówisz!

I nie czekając dłużej, weszła ostrożnie do pokoju chorej matki. Po kilku minutach wróciła, a twarz jej promieniała radością.

— Mam paczkę, szepnęła, drżąc z ciekawości, i szybko rozdarła kopertę.

Kilka zapisanych ćwiartek wypadło z niej na stół.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY.

Wdowa Klimmer.

Gryce wrócił do Sibley i udał się natychmiast do Ferrisa.

— Znalazłeś pan dowody? — zapytał adwokat.

— Tak. Orkutt zabił panią Klimmer, bo stała mu na przeszkodzie do zaślubienia panny Dare. Była ona jego żoną.

— Żoną Orkutta?

— Tak, od szesnastu lat!

Ferris potarł czoło ręką. Zdawało mu się, że to sen.

— Poznali się w Swanson, — mówił Gryce dalej. — Biedny pomocnik adwokata poznał tam ładną gospodynią w hotelu, w którym mieszkał, i ożenił się z nią, ale nie chcąc, aby żona jego utraciła korzystne miejsce, wziął z nią ślub potajemnie. Po tem już można poznać, jak umiał liczyć.

— Rzeczywiście ożenił się z nią?

— Tak, mam świadectwo ślubu! Wkrótce jednak poznał, że żona jego jest niewykształconą kobietą, że zaszkodzi jego karjerze, więc nie namyślając się długo, uciekł z Swanson potajemnie. Ale pani Dorota energiczną była kobietą. Spostrzegłszy ucieczkę męża, pogoniła za nim i doścignęła go na jakiejś małej stacyi. Gwałtowna scena odegrała się teraz pomiędzy małżonkami. Orkutt powiedział jej wręcz, że kobieta z nizkiego stanu nie jest odpowiednią dla niego żoną, ona zaś odrzekła mu, że nie myśli żyć z takim niegodziwym człowiekiem, ale żąda, aby jej płacił rocznie pewną sumę pieniędzy na utrzymanie. Orkutt zgodził się na to, i tak rozstali się. On osiedlił się w Sibley, ona wróciła do Swanson, ale dręczona tęsknotą za mężem, którego szalenie kochała, sprowadziła się po kilku latach również do Sibley, chcąc go chociaż czasem z daleka widywać. I teraz zmusiła go nawet, aby u niej bywał i jadał obiady. Na małżeństwo z inną nie byłaby jednak pozwoliła za nic w świecie. Orkutt znał jej upór, i nie chcąc się zrzec posiadania kobiety, którą tak bardzo kochał, zabił własną żonę!

— Zkąd pan wiesz o tem wszystkiem? — zapytał Ferris jak nieprzytomny.

— Z tych oto papierów, — odrzekł Gryce, podając mu listy. — Pani Klimmer należała szczęściem do tych kobiet, które lubią pisać o swoich uczuciach.

— Kto panu dał te listy?

— Panna Firman. Jest to rodzaj pamiętnika, który pani Orkut pisała, a obawiając się od dawna już śmierci z ręki męża, dała te papiery ciotce swej do schowania!

— Pozwolisz mi je pan przeczytać? — szepnął Ferris wzruszony.

— Naturalnie!

Po odejściu Gryca zabrał się Ferris do czytania pamiętnika. Nie wątpił teraz już wcale, że przyjaciel jego był skończonym łotrem, a fakt ten przepełniał serce szlachetnego człowieka niezmierną goryczą. I czuł głęboką litość dla nieszczęśliwej kobiety, która przykuta do tego niegodziwca, znosiła przez tyle lat prawdziwe męczarnie, i poniosła w końcu śmierć okropną z jego ręki.

Pamiętnik ten rozpoczynał się z pierwszym dniem jej przybycia do Sibley, a najważniejsze ustępy brzmiały jak następuje:

— Mieszkam blisko sądu i będę widywać codziennie! Jestem szczęśliwą nad wyraz! On jeszcze mnie dotychczas nie widział, ale wczoraj, gdy przed wieczorem wyszłam na miasto, ujrzałam go z daleka. Był wesoły i uśmiechnięty, serce moje zas ścisnęło się boleśnie. On się może śmiać, podczas kiedy ja tyle łez z jego powodu wylałam! Teraz jednak będę spokojniejszą!

Dn. 10 Listopada.

— Przybrałam tu nazwisko pani Klimmer i uchodzę za wdowę, a mąż mój mieszka tylko o kilka ulic dalej. Dziś spotkałam go i spojrzałam mu śmiało w oczy. O, jakże się przestraszył, gdy mnie poznał. Zbladł jak ściana, starając się daremnie o przybranie wyrazu dumy i obojętności. Nie opuszczę Sibley nigdy! Boję się tylko, aby on mnie nie zabił, bo patrzał na mnie z taką nienawiścią, jak gdyby mnie chciał zmiażdżyć!

Dn. 24 Lutego.

— Nie mogę tego znieść dłużej! Siedzę samotna w moim pokoju, on zaś przechadza się po mieście z ludźmi, którzy by na mnie ani nie spojrzeli. Ale widzę go przynajmniej.

Dn. 7 Października:

— On kłamie, mówiąc, że nigdy mnie nie kochał! Czemu się więc ożenił ze mną? Cztery tygodnie po ślubie powiedział mi wprawdzie, że jestem ordynarną i bez wychowania kobietą, i że nie może żyć ze mną. Pomimo to kochał mnie!

Dn. 11 Maja:

— Dzięki Bogu, że kobiety żadnego dla niego nie mają uroku. Pracuje wiele i staje się sławnym. Żadnego procesu jeszcze nie przegrał; jestem dumną na mego męża!

Dn. 5 Października:

— Nie mogę wystarczyć pieniędzmi, które mi daje. Zmuszę go, aby płacił więcej, bo chcę sobie kupić nową suknią i nowy kapelusz!

Dn. 2 Listopada.

— Byłam dziś na sądzie i słyszałam jego mowę. O jak chętnie byłabym chciała zawołać: Jestem żoną tego uczonego, sławnego człowieka! Ale cóż robić! Przyrzekłam mu, że będę milczeć, i przyrzeczenia muszę dotrzymać. Daje mi teraz też więcej pieniędzy. Za rok uzbieram może tyle, że będę sobie mogła kupić mały domek niedaleko sądu. Otrzymałam dziś list od Adeliny. A Eryk urósł podobno bardzo i ładnym jest chłopcem.

Dn. 10 Czerwca.

— Mam własny domek, ale mój mąż jest człowiekiem okrutnym, bez serca! Dziś spotkałam go na ulicy, nikogo nie było w pobliżu, przystąpił więc do mnie, i powiedział, że zakazuje mi wychodzić we dnie na miasto, że niechce mnie spotykać, że jestem mu wstrętną! Usłucham, ale zmuszę go, aby przychodził do mnie! Nie mogę żyć nie widząc go, bo pomimo wszystkiego złego, jakie mi wyrządził kocham go szalenie! Jeżeli się nie zgodzi na bywanie w moim domu, powiem każdemu, że jestem jego żoną!

Dn. 16 Czerwca:

— Zgodził się na to! Wie on, że nie pozwolę z siebie żartować. Jadł dziś u mnie obiad i potrawy smakowały mu bardzo. Ale zresztą nie rozmawiał wcale ze mną. Będzie się odtąd stołować u mnie i zapłaci mi za to dużo pieniędzy. Może więc bywać jawnie w moim domu, a ja mam tę korzyść, że zobaczę go codziennie!

Dn. 18 Sierpnia:

— Wczoraj był tak uprzejmy, że odważyłam się ująć jego rękę. Ach, jak się o to rozgniewał! Myślałam, że mnie uderzy! On mnie nienawidzi! Jestem rzeczywiście stara już i brzydka, więc nie dziwię się, że mnie nie kocha. Ale na nienawiść nie zasłużyłam przecież!

Dn. 8 Września:

— Dziś był Eryk u mnie. Ładny i miły chłopak, zdaje się, że bardzo dobre ma serce. Mam już 500 dolarów w banku, zrobię więc testament i zapiszę wszystko Erykowi.

Dn. 19 Lutego:

— Jeżeli umrę nagle, to nikt nie dowie się, że jestem żoną adwokata Orkutta! Bo on zabierze zaraz świadectwo naszego ślubu i zniszczy je. Nie mogę się pozbyć tej myśli, ale nie wiem, jak postąpić! Wczoraj byłam w jego domu. Ach jak pięknie on mieszka! Ponieważ wyjechał, przeto poszłam do jego siostry, aby zapytać, kiedy wróci. Nie mogło to nikomu wydawać się niestosownem. Gdyby mnie kochał, mieszkałabym teraz w tych przepysznie urządzonych pokojach, chociaż służyłabym chętnie u niego, byleby mnie tylko przyjął do swego domu!

Dn. 30 Marca:

— Walery Hildret umarł, nie potrzebuję go się już obawiać. Syn jego jest niedorosły, więc i z tej strony nie grozi mi chwilowo niebezpieczeństwo, ale mój mąż! Boję go się!

Dn: 26 Maja:

— Świadectwo ślubu zginęło! Przeszukałam wszystkie kąty i nie znalazłam nic! Może chce się żenić z inną, ale na to nie pozwolę! Pamiętnik mój oddam ciotce Firman do schowania. Oświadczam tu raz jeszcze uroczyście, że jestem żoną adwokata Orkutta. Ślub nasz odbył się w Swanson dn. 3 Lipca, r. 1867. Dorota Orkutt.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY.

Gryce odjeżdża.

— Helenko!

— Czego sobie życzysz, kochanie?

— Czemu taki hałas na ulicy?

Helena Darling spojrzała czule na bladą twarz przyjaciółki.

— Dziś mogę ci wszystko powiedzieć — szepnęła. Byłaś bardzo chora, i leżałaś kilka dni bez przytomności, ale radość ozdrowi cię. Otóż przed kilku minutami wypuszczono Mansella z więzienia.

— Więc on jest wolnym! Oh, Helenko!

— Tak! Dziwne rzeczy wyszły na jaw. Adwok Orkutt...

— On zabił wdowę, nieprawdaż?

— Zapewne, ale wiesz dlaczego?

— Nie! Mówił, ze dla mnie, tego jednak nie rozumiem.

— Pani Klimmer była jego żoną!

— Boże wielki! I on, mając żonę, śmiał starać się o mnie.

— Tak, to rzeczywiście niegodziwy człowiek! Ale nie myśl już o nim. Wstań teraz, kochanie, pan Gryce bowiem chciałby się z tobą pożegnać. Byrd i Hickory odjeżdzają dziś także.

Po obiedzie przyszedł Gryce i zastał Iwonę, bladą jeszcze i słabą, ale spokojną w salonie profesora.

— Widzisz pani, zawołał wesoło, że dotrzymałem przyrzeczenia? Wszakże wszystko dobrze się skończyło!

— Nie wiem, jak panu podziękować, rzekła Iwona z łzami w oczach. Ocaliłeś życie dwojgu ludziom...

— No, no, nie moja w tem zasługa. Gdyby gałęź nie była zabiła tego łotra, to kto wie, czy byłbym zdołał dowieść niewinności Mansella. Sprawa jego stała bardzo źle!

— Powiedz mu pan jeszcze.... zaczęła nieśmiało.

— Nic nie powiem, przerwał z uśmiechem. Najlepiej będzie, że sami wyjaśnicie sobie nawzajem wasze podejrzenia.

— Nie będę miała pewnie do tego żadnej sposobności, rzekła Iwona smutnie. On nigdy mi nie wybaczy mego szaleństwa.

— Zobaczymy, zobaczymy! Muszę niestety pożegnać panią teraz, obowiązki moje nie pozwalają mi tutaj dłużej zostać. Spodziewam się w interesie pani, dodał ściskając serdecznie jej rękę, że nigdy się już nie zobaczymy. Zacznij nowe życie drogie dziecię, i bądź szczęśliwą, jak na to zasługujesz!

Iwona została samą.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak opuszczoną, jak w tej chwili. Eryka otaczali teraz pewnie znajomi i przyjaciele, podczas kiedy dla niej nie było już miejsca na świecie. I gorące łzy spłynęły po twarzy nieszczęśliwej dziewczyny.

Helena Darling nie próbowała jej pocieszać. Weszła do pokoju, zostawiła drzwi otwarte i po chwili oddaliła się znowu, twarz jej promieniała prawdziwą, szczerą radością.

Iwona ciągle jeszcze płakała. Nagle podniosła głowę, zdawało jej się bowiem, że ktoś wymawia jej imie. I gdy teraz spojrzała na otwarte drzwi....

Na progu stała wysoka piękna postać mężczyzny o błyszczących oczach, wpatrujących się w nią z nieopisaną miłością.

— Iwono! najdroższa! zawołał Eryk biegnąc do niej z otwartemi ramionami, — Zaczniemy nowe życie, zapomniemy o przeszłości! Szczęścia naszego nic już teraz nie zakłóci!

Koniec.

Do mowy ojczystej.

Mowo ojczysta, ty aniołów pienie,
Duszo narodu, ciała jego serce —
Potąd nam życia, póki twoje brzmienie
Słyszy ta ziemia — dzisiaj w poniewierce,
Rwana w kawały jak łachman purpury,
Spuścizna chwały, jej dzieci wygnane
Żebrzą litości, tam u Pana z góry,
By palec święty włożył na ich ranę,
Podniósł upadłe wielkich ojców syny,
W narodów znowu postawił ich rzędzie,
Zmazał wiekowe przestępstwa i winy
I rzekł: „Ten naród znów narodem będzie!
Na służbie mojej — jak praojce stanie,
Odnowi zakon, nić dziejów zerwaną
Nawiąże z nowa—pójdzie w posłannictwie,
Bom ja nie na to naród ten pokorzył,
Nałożył jarzmo na te karki twarde,
By znikł na wieki — nie, ja chcę by ożył!“

O polska mowo, ty głosie odwieczny,
Póki brzmieć będziesz od morza do morza,
Naród stać będzie cały i bezpieczny
I mierzyć będzie swej ziemi przestworza,
Choć łan po łanie obcy pług zaorze,
Zwalą świątynie i zrównają groby,
Zatrą imiona — piekło nie przemoże
Twojej potęgi. — Pośród dni żałoby
Ty słowem, pieśnią podniesiesz omdlałe,
Ospałe wskrzesisz trąbą aniołową,
Wskrzesisz praojców nie wygasłą chwałę:
Ciałem się stanie od Boga twe Słowo.

Skarbie niewzięty, ty gędźbo wiekowa,
Którą Bóg wygrał na milionów duszy —
Póki z ust polskich brzmią rodzinne słowa,
Ciebie ni woda, ni ogień nie skruszy.
Naród cię niesie jak arkę przymierza,
Z wieku do wieku swą świętą spuściznę,
Z ręki pokoleń pokoleniom zwierza,
Jako świadectwo na swoją iściznę.

O córo sławy, ty w siostrzanem gronie
Jako królowa blaskiem niezrównana,
Zasługi wieńcem stroisz wzniosłe skronie;
Ty w najpiękniejszą szatę przyodziana,
Bo w złote nici i perłowe wzory
Tkali ją wieszcze i słowa kapłani
I mędrce wieków z djamentu pióry
Myśl nieśmiertelną wywzorzyli na niej.
Wstań mowo polska, a stań w majestacie
Całej swej chwały, potężna królowo,
Zawsze niezłomna, nieugięta w stracie,
Z bożego zdroju płynie twoje słowo.
Ty jako pani u ziemi tej proga
Na straży prawa, władzy nieodjętej
Danej ci z berłem od samego Boga,
Stój niewzruszona w dzierżawie swej świętej:
Mowa ojczysta, ty słowa potęgą
Natchnij twe wieszcze — niech z gęślą narodu
Idą na sioła, idą z pieśni księgą,
Z chaty do chaty, od grodu do grodu
I budzą naród w boleści zdrętwiały;
Niech wznoszą w górę te serca i duchy,
Co o przyszłości i bycie zwątpiły,
Podają ucho na wraże podmuchy;
Głos ich potężny niech obce zagłuszy,
Niech zagrzmi groźnie jak trąba bojowa
I prochy wspomnień niech w grobach poruszy,
Jakby wśród gromów przemawiał Jehowa,
O nie opuszczaj ogniska rodziny:
Niech swojski pacierz, ojczysta piosenka
W mozole życia krzepi córy, syny,
Aż nam poranna zabłyśnie jutrzenka.
Niech z księgi mędrców, kapłańskiej mównicy,
Na naród źródło wiedzy, nauk spływa,
Spływa w twym głosie, w tej swojskiej krynicy,
Która jedynie jest swojska i żywa;
Z twojem wyschnięciem —narodu konanie,
Całun grobowy pokryje tę ziemię,
A na niej pomnik o tych słowach stanie:
„Tu z winy własnej zgasło wielkie plemię.“

R. T.

Zemsta błazna.

Miał król Zygmunt I swego trefnisia słynnego Stańczyka, miał i Zygmunt August głośnego wesołka Gąskę, dlaczegóżby pan wojewoda krakowski i marszałek koronny Piotr Kmita nie mógł sobie na nadwornego błazna pozwolić? Wielki magnat zarazem i wielki warchoł, protoplasta duchowy późniejszych królewiąt, a ojczymów narodu, lubił otaczać się dworem iście monarszym. Zygmuntowie popierali naukę i sztukę, więc Kmita rozciąga opiekę nad Bielskim, Janickim, Przyłuskim, Orzechowskim.

Nie wywdzięczył się pochlebstwem swemu mecenasowi ten ostatni, skoro w charakterystyce Kmity, po wykazaniu różnych warchołstw dumnego magnata, powiada o nim: „Wszelkiemi sposobami lizał się i nadskakiwał królowi, aby tylko dawną odzyskawszy przewagę, znowu nad uboższymi mógł dworować.“

Bo pan wojewoda całą swą działalność publiczną skierowywał do celów prywatnych: zadowolenia osobistej ambicyi i powiększenia już i tak olbrzymiej fortuny. Pokumawszy się z królową Boną, którą, jako Włoszkę, pomyślność Polski niewiele obchodziła, zwala przemożnym wływem swoim statuta postanowione w 1534 r., ku okiełznaniu swawoli szlacheckiej. Później zaś, gdy Bona, ratując powagę królewską, radaby owe statuta przywrócić, Kmita porzuca Włoszkę, gdyż mu w schlebianiu namiętności szlacheckiej łatwiej mącić wodę, a w niej grube ryby dla siebie łowić. Kiedy znowu przychodzi znana sprawa małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą, wojewoda godzi się z Boną, aby za obiecane koncesye wywołać straszną burzę na pamiętnym sejmie piotrkowskim (1548). Energia króla, gotowego zrzec się korony niż porzucić poślubioną małżonkę, łamie Kmitę i skłania go właśnie do „lizania się wszelkiemi sposobami królowi,“ co mu jednak nie przeszkadza być cichym, podstępnym sojusznikiem w czynieniu wstrętów Barbarze.

Mimo nadzwyczajnych starań Bony, aby odwlec koronacyę Barbary, uroczystość ta dochodzi do skutku w dniu 7-mym grudnia 1550 r. Ten sam arcybiskup Dzierzgowski, który na sejmie piotrkowskim przemawiał za opuszczeniem żony, przyrzekając grzech królewski w porzuceniu onej niewiasty rozdzielić na wszystkich mężczyzn — teraz wkładał koronę na głowę młodej królowej, a ta, jakby przeczuciem rychłego zgonu wiedziona, miała powiedzieć:

Do innej mnie korony Pan Niebieski powołał; proście Go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił.*)

Wśród dostojników, asystujących obrzędowi koronacyi, znajdował się i Piotr Kmita w otoczeniu swych licznych dworzan i z nieodstępnym trefnisiem, Jaszkiem *v.* Jaśkiem. Kto zacz był Jasiek? — nie wiadomo. Prawdopodobnie szlachcic ukrywający starannie rodowe nazwisko, bo stanowisko trefnisia Kmitowego, aczkolwiek zyskowne i zapewne wpływowe, nie mogło chyba przynieść zaszczytu klejnotowi szlacheckiemu. To tylko wiemy, że Jasiek pochodził z Mazowsza, za młodu uczęszczał do Akademii krakowskiej i sposobił się nawet do stanu duchownego, o czem wspomina Górski, biograf Piotra Kmity. Zeszpecony straszliwie przez ospę, mając przytem niepomiernie dużą głowę, osadzoną na małym korpusie, Jaśko karykaturalnie wyglądał i ostatecznie z przyczyn swej „potworności“ musiał Akademię porzucić i wyrzec się święceń kapłańskich.

Około 1545 r. w Wiśniczu, rezydencyi Piotra Kmity, pojawił się wędrowny „wesołek“, który z towarzyszeniem lutni wyśpiewywał różne śmieszne piosenki i krotochwile. Właściwie ów „wesołek“ — powiada Górski — więcej gadał niżeli śpiewał, a słuchający aż się za boki brali, słuchając trefnych opowieści. Stawiony przed obliczem Kmity, Jasiek musiał podwoić wrodzony dowcip, kiedy magnat, zadowolony z popisu, oświadczył.

— Chcesz, to zostań jako mój błazen...

„Wesołek“ mając przyrzeczoną sutą szarżę, czyli pensyę, wyrzekł się wędrownego zarabiania na chleb powszedni i odtąd stale przy Kmicie przebywał. Otrzymał zaraz uniform błazeński, który tak opisuje Rej z Nagłowic:

„Błazenek w opończy krótkiej, pas miał okowany, na łbie kaptur z uszami jak u sarny, na nich wiszą dzwonki, a w ręku cepy na pstrym kiju z lisiemi ogonkami.“

Tak ubrany Jasiek staje się ulubieńcem Kmity. Wywijając symbolicznemi cepami, młócił istotnie głupstwo i zdrożności ludzkie, a chociaż nie był głębokim satyrykiem, jak prawie współczesny mu Stańczyk, nie mniej, po za błazeństwami płaskiemi, zdobywał się na żart szerszego pokroju.

Gdy np. wojewoda sandomierski, Jan Tęczyński, zawołał na sejmie piotrkow-

*) „Pamiętniki o królowej Barbarze“, Paliński, tom III, str. 189.

skim, że „wolałbym widzieć sułtana Solimana w Krakowie, aniżeli Barbarę królową,“ Jaśko odrzekł w głos:

— Bardzo wierzę, bo Soliman nie rusza się bez haremu...

Uwaga „wesołka,“ mimo powagi miejsca i dramatycznego przedmiotu obrad, obudziła śmiech powszechny, albowiem Tęczyński słynął jako „podwikarz.“ To śmiałe odezwanie się błazna osłabiło, a raczej ośmieszyło patetyczność wyrażenia wpływowego przeciwnika Barbary.

Zapewne Kmita, idący z Tęczyńskim ręka w rękę, nie był wdzięcznym Jaśkowi za ową sejmową dygresyę, lecz zuchwały wesołek nie postradał łaski pańskiej, kiedy go znów widzimy przy boku Kmity podczas koronacyi Barbary.

Za poduszczeniem Bony chciał Kmita użyć Jaśka do wyrządzenia młodej królowej psoty w postaci nie tyle trefnego, ile gryzącego żartu. Było ułożonem, że w czasie składania hołdów Barbarze na zamku krakowskim, hołdów, którym towarzyszyły różne podarunki, Jaśko niby z własnej inicyatywy wmiesza się do orszaku i także oświadczy swoją submisyę. A miał on ofiarować dwa maleńkie dzwonki, kopię swoich własnych, ku ozdobie świeżo włożonej korony. Tkwiła w zamiarze tego daru chęć ośmieszenia korony, nadania jej cechy błazeństwa.

Ale Jaśko popsuł szyki prześladowców Barbary. Rolę hołdownika wprawdzie odegrał, dzwonki ofiarował, lecz przemówieniem swem przeinaczył złośliwy żart, a nawet obrócił go przeciw głównej sprawczyni uknutego spisku:

Na dzwonki błazna w Twojej koronie
Nie starczy miejsca. Daruj je Bonie.

Śmieli się wszyscy z trefnego żartu śmiał się z innymi i Kmita, lecz z przymusem. A Jaśko zapewne pod wpływem wina, obficie rozlewanego w czasie godów koronacyjnych na zamku krakowskim, posunął się w swej osobistej antypatyi do Bony (nieobecnej na tych uroczystościach) jeszcze dalej, gdy wygłosił taki dwuwiersz:

Mala Bona, mala Bona
Stara kwoka, włoska wrona.

Kiedy zaś rozsierdzony na swego wesołka wojewoda kazał mu milczeć, Jaśko huknął:

Gawron ita
Pietrzek Kmita.

Tego już było magnatowi za wiele. I lubo na docinki trefnisiów według ówczesnego obyczaju, chociażby najdotkliwsze i najbardziej osobiste, nie należało się gniewać, przynajmniej *coram publico* — Kmita się rozwścieklł i Jaśkowi wymierzył sążnisty policzek w śmiejącą się gębę.

Co potem bezpośrednio zaszło, dzieje milczą. Lecz Jaśko tkwił dalej na dworze wojewodzińskim. Snadź łaskę pańską odzyskał. Policzka jednak nie zapomniał. Pół żartem pół seryo mawiał:

— A taki przyjdzie pora, że mu oddam.

Doniosły się te odgróżki do Kmity, który po wyjeździe Bony do Baru, nie mając już żadnego interesu schlebiać znienawidzonej „włoskiej wronie“, nie żywił rankoru do błazna.

— Jasiek, mówią mi — rzecze ze śmiechem groźny magnat — żo chcesz mi dać w gębę. Ejże, czybyś się ważył?

A na to trefniś:

Wzdy jest możny nasz pan Kmita
Jak mors zeńdzie, fugit vita,
Toż i będzie z nami kwita.

Nikt nie domyślał się, jaką aluzyę kryje w sobie to dworowanie błazna, zionącego zemstą za policzek dawno już wygojony. Wszak od tego czasu minął więcej niż dziesiątek lat. Zgasła już królowa Barbara, pogrążywszy Zygmunta w smutku bodaj do zgonu nieutulonym: zmarła i Bona w swojem księstwie Barskiem, dokąd uciekła ze skarbami Polsce wydartemi, skarbami, o zwrot których aż do upadku Rzeczypospolitej bezskutecznie się upominano; zestarzał się i Piotr Kmita, trapiony różnemi chorobami, a pewno gorszemi jeszcze od nich zgryzotami, że dla prywaty poświęcał tyle spraw publicznych. I po co mu było zbijać fortunę, po co wznosić ród, kiedy nie zostawił potomka po dwóch bezdzietnie zmarłych małżonkach: Górkównie i Herbutównie?

Nareszcie w 1563 r. blizko 80-cioletni magnat zakończył żywot w Krakowie, ku uciesze czyhających na spadek siostrzeńców Stadnickich i Barsów. Już zwłoki przybrane ułożono w trumnie, a dworzanie w barwę żałobną odziani, zapełnili komnatę w oczekiwaniu na duchowieństwo, aby odprowadzić zwłoki na Wawel, gdy nagle wpada Jaszko trefniś w swym błazeńskim stroju, a potrząsając cepami i dzwoneczkami, wszystkich roztrąca. Ustępują mu, w mniemaniu, że chce ręce wojewodzińskie ucałować i z ciałem się pożegnać. Lecz Jaszko dziko się śmiejąc, pochylony nad zwłokami, wymierza Kmicie mocny policzek.

Nieoczekiwany i niesłychany postępek w takie wprowadził świadków osłupienie, że stali jak w ziemię wrośli. Z tego korzystając, trefniś szybko wybiegł z komnaty.

Kiedy później zarządzono pogoń, Jaszko przepadł bez wieści. Zniknął nietylko z dworu Kmitowego. ale i z Krakowa. Nikt o nim już nigdy nie słyszał. Tylko pamięć dzikiej, od tylu lat pielęgnowanej zemsty błazna podotąd się zachowała. *Bronisław Korwin.*

Oda
do Ziomków Wielkopolskich.

Znowu grom świeży z wszechteutońskiej fali
Uderzył w zacne Wielkopolan plemię
Raniąc ich srożej od morderczej stali
I świeżych znojów waląc na nich brzemię.

Język narodu, który Wiedeń zbawił,
A którym dzisiaj jeszcze miliony
Czczą Stwórcę Pana, co ten język sprawił,
Aby przez wieki i w nim był wielbiony:

Ten język piękny wieszcza Mickiewicza,
Który go sławił w geniuszów rzędzie,
A którym dzisiaj pióro Sienkiewicza
Piśmiennej niwy bierze piędź po piędzie:

Ten twór tak święty, piękny i niebiański,
Najszlachetniejsza część ludzkiej istoty: —
Lęk dziś obudził zda się wszechgermański
I zwrócił na się wszystkie wrogów groty.

Cóżeś Ty winna o polska Dziecino,
Że za przyrody idąc przewodnictwem
Z wyssaną z piersi matki Twą — jedyną
Mową do Boga idziesz z pośrednictwem.

Ach, Ty to czujesz — a żal niezgłębiony
Ściska Twą duszę jakoby kleszczami;
Lecz z ust Twych drżących słyszę jęk stłumiony,
Cóż mamy czynić, gdy przemoc nad nami?

Nie masz przemocy nad królestwem ducha,
Jeśli tym duchem święty zapał władnie;
I każdy pocisk jako glina krucha
On się bez skutku w miałki proch rozpadnie.

Ten zapał święty roztlij w Twojej duszy,
To przedewszystkiem dzisiaj miej pragnienie:
Ten język, który wróg wyniszczyć tuszy,
Posiąść i cenić jak najdroższe mienie.

Tem męztwem ducha, tą potężną zbroją,
Obleczmy dzisiaj rozum nasz i wolę;
Ojczystej mowy życiodawcze zdroje
Niech trysną w domu, gdy zamknięte w szkole.

Troskliwa matka przed pójściem do spania
Gromadkę dzieci do pacierza wzywa;
Żąda dziś polskiej mowy nauczania
Wspólna nam macierz — Polska boleściwa.

Są dzieła ludzkie, które zwolna rosną;
Choć je kamienne nie wsławią pomniki,
One się staną zmartwychwstania wiosną,
Przyszłego szczęścia będą rozsadniki.

Tak kowal nikły, on wszechbytu szczątek,
Maluczko działa wśród morza głębiny;
Jednak zbiorowa praca tych żyjątek
Wysp nieraz ludnych kładzie podwaliny.

Taką niech będzie dzisiaj nasza praca
Na niwie drogiej nam ojczystej mowy;
Pod strzechą skromną i w salach bogacza
Niech się dziś dla niej zapał wzbudzi nowy!

Kiedyś przed Sędzią świata zdadzą sprawę
Nie tylko ludzie, lecz ludy i rządy,
Wtenczas się nasze czyny zjawią prawe,
A dla ciemięzców jak wypadną sądy?

Ufni, że losy nasze w ręku Boga,
Do pracy, czynu bierzmy się ochotnie,
A odeprzemy nawet przemoc wroga,
I z brudów naszych tryśnie plon stokrotnie.

D. 1. 11. 1900.

Alfons Boruszyński.

Z legend o Matce Boskiej.

(Do illustracyi albumowej.)

Nie smuć się duszo ludzka, nie narzekaj, bo ty sierotą nie możesz być nigdy, skoro masz Ojca wiecznego w niebiesiech i Matkę Jego swoją opiekunką.

Nie smuć się duszo ludzka, nie rozpaczaj, bo kędy spojrzysz do około siebie, dokądbyś poszła na najdalsze krańce, za wszystkie morza, za najwyższe góry, wszędy obaczysz, jako z łaski Bożej ziemia się z niebem styka nieustannie...

Nie smuć się duszo ludzka, nie wątp nigdy i bądź jak słońce, jak księżyc, jak gwiazdy, jak gwiazd tych choćby najmniejsza kruszyna — zwierciadłem nieba; niech z jasności jego zawsze choć promyk w tobie się odbija, abyś świeciła choć drobną iskierką, ażeby w tobie jasno było — duszo!...

Pomnij, że gwiazdy zardzawiałe w górze, albo zmącone nadto tchnieniem ziemi, gdy już nie mogą blaskiem niebios płonąć, ani światłości niebieskiej odbijać, anioły Pańskie strącają z błękitów w przepaść bezdenną, w ciemność nieskończoną, jako rzecz marną, martwą, nieużytą...

Taki los także duszom zardzawiałym, których już żadna światłość się nie ima i żaden promyk od nich nie odstrzela i żadnym blaskiem nie zdolne nasiąknąć.

Bo dusze ludzkie winny być gwiazdami i jako gwiazdy świecić tu pospołu pośród ciemności ziemskiego padołu i w górę piąć się ciągle, jak powoje, bo z góry jasne płyną świateł zdroje a z dołu tylko mroczne idą cienie.

W dole śmierć czeka — w górze odrodzenie.

* * *

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swojem tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniąca...

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swojem spojrzeniem czarownem wyzłaca.

Królowa niebos płynie, jako prządka i zamiast berła prostą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Maryan Gawulewicz.

Kronika.

„Coś się psuje w państwie duńskiem!“ — Wyjątkowo zajmę się sprawą nie poznańską, lecz berlińską. Przed kratkami sądu stanął żyd milioner, Sternberg, oskarżony o popełnianie czynów niemoralnych. Proces ów odkrył całą kałużę społecznego zepsucia, kryjącego się pod świetną powłoką życia wielkomiejskiego. Lecz to, co dzieje się w Berlinie, zachodzi w większych jeszcze może rozmiarach w innych ogniskach życia świata. — Nie na to więc chciałem zwrócić uwagę. Lecz właśnie ów proces, a raczéj rewizya procesu dają wątek do uwag, z których wynika, że bezpieczeństwo publiczne, ład i porządek, piecza nad dobremi obyczajami w nienajlepszych spoczywają rękach. Oto przed kratkami sądu staje policyant i twierdzi, że przełożony jego, jakby z umowy interesowanych czynił mu świetne obietnice, jeżeli zaniecha dalszych poszukiwań w sprawie Sternberga i jeżeli zeznawać będzie na korzyść oskarżonego. Ba! co gorsza stwierdzonem zostało, że jedna z wyższych figur policyjnych, mąż o świetnie brzmiącem nazwisku, był w pewnéj zależności finansowéj od oskarżonego. Czy można wierzyć, aby żydowskie złoto miało wpływ na przebieg tego sensacyjnego procesu?

Przypuśćmy, że zeznania policyanta, jakoby chciano go kupić na korzyść oskarżonego, są nieprawdziwe, jaki dalszy wniosek z tego wyciągnąć można? Oto ten, że ów policyant uknuł intrygę na spółkę z kilku osobami chciwemi zysku, aby wycisnąć bankiera, a gdy sprawa się nieudała, oskarżył swych przełożonych. I to bowiem trzeba dodać, że główna oskarżycielka cofa swe zarzuty, twierdząc, że podmówiona została do nich przez owego policyanta.

Nie wchodzę w to, ile jest prawdy po tej lub po tamtéj stronie, konstatuję tylko fakt, że po raz drugi odkrywa się przed okiem naszem to, co się dzieje za kulisami organów bezpieczeństwa stolicy Niemiec.

Po raz pierwszy mieliśmy sposobność zajrzeć za kulisy policyi w czasie procesu Tauscha, proces Sternberga nowe wyciąga brudy na jaw — a więc sławnem jest zdanie, że się coś psuje w państwie duńskiem. Nie bądźmy jednak zbyt dumni! U nas tego rodzaju szkandalów niema, ale mamy szkandale boleśniejsze prawie. Spojrzmy na to, co się dzieje w okręgu babimojsko - międzyrzeckim. Tam *X. Krzesiński wyrzeka się swéj narodowości, zapiera się swego pochodzenia polskiego, bo urodził się z matki Polki i ojca Polaka, staje się apostatą narodowym!* Czyż to nie smutny obraz!

Odwróćmy się od niego a pokrzepmy się wspomnieniem męża, który przedewszystkiem powinien być wzorem dla wszystkich, jak spełniać i jak pojmować obowiązki. Pomódlmy się w tych dniach za duszę ś. p. ***Karola Marcinkowskiego,*** bo w tych dniach d. 7. listopada przypadła rocznica jego śmierci. Niezapomnianéj pamięci dr. Karol Marcinkowski urodził się dnia 23. czerwca 1800 r., a umarł dnia 7. listopada 1846 r. Niechaj szczególnie młodzież polska, któréj Marcinkowski jest dobroczyńcą, bo jego staraniem zawdzięcza powstanie Pomocy naukowéj, pamięta o nim i westchnie pobożnie za duszę jego!

Nie mam zamiaru podawać życiorysu tego wybitnego męża, przypuszczam, że znany on powszechnie, przytoczę jednak kilka zdań, aby dać poznać sposób jego myślenia.

W testamencie swoim składa Marcinkowski wyznanie, *że jemu ani jeść, ani spać nie prędzéj smakowało, póki całodziennéj pracy nie ukończył... Tego żądła, téj niespokojności — w pełnieniu obowiązków, którą Pan Bóg wlał w duszę moją, inaczéj poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą.*

Z bardzo znacznych dochodów swoich, które, jak to sam przyznaje w testamencie i corocznych swoich deklaracyach podatkowych, praktyka mu przynosiła, obracał Marcinkowski tylko nieznaczną część na opędzenie osobistych potrzeb swoich, wspieranie rodziny i na oszczędności. O ostatnich wogóle nie bardzo myślał, a jeżeli co zostawił, to było także przeznaczone na cele publiczne. Wogóle powiedzieć można, że dochody swoje obracał na kształcenie młodzieży niezamożnéj, na różnorodne cele dobroczynne, wreszcie na najrozmaitsze składki i przedsiewzięcia obywatelskie, cichą dla nich do końca życia szafując dłonią. Pod tym względem sam się porównał z rozrzutnikiem, który, gdy co zobaczy, co pasyi jego dogadza, nie pyta się rozsądku, ale idzie za głosem swego zachcenia i pieniądze wyrzuca.„ Otóż — mówi Marcinkowski — taką samą chęć wlał Pan Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne, jak mi się zdawało, cele, mogłem dogodzić téj pożądliwości méj duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak powiem, utwór, którym dysponuję...“ — Nie pojmował ludzi, którzy majątki gromadzą dla dzieci, nie dawają im nawet odpowiedniego wychowania; zwykle te skarby marnie bywają roztrwonione. . . „Mnie było miło — mówi Marcinkowski — dogodzić sobie natychmiast i patrzeć za życia na skutki swych usiłowań. I dobrze mi tak było.“

W charakterze Marcinkowskiego po nad wszystkiemi jego zaletami góruje idealna, niedościgła miłość bliźniego i miłość Ojczyzny.

Gdy jenerał Chłapowski chciał Marcinkowskiego zachęcić do przyspieszenia powrotu do kraju, za najskuteczniejszy sposób uważał donieść mu, że się ubodzy uskarżają na jego oddalenie.

„Chwytasz mię za słabą stronę“, odpisuje mu na to Marcinkowski, łatwo pojmiesz, ile mnie samemu tęsknota dawnych zatrudnień dokuczyć musi“.

Była w tej duszy też szlachetność wrodzona, o delikatniejszych odcieniach, była prostota i ewangieliczne zaparcie siebie samego — była słodycz i pobłażliwość, zwłaszcza dla biednych i utrapionych, ale była też stanowczość w sądzie, słowie i czynie, był żelazny hart woli, zwłaszcza gdy chodziło o wysokie cele.

Takim był ten wielki mąż.
Ile nam dziś brak takich ludzi!

Acer.

Przytulisko dla dziatwy szkólnéj.

Celem otoczenia staranną opieką dziatwę uczęszczającą do tutejszych szkół elementarnych, a nie mającą dostatecznego dozoru ze strony ciężko pracujących rodziców, zawiązało się, jak wiadomo, Towarzystwo pod nazwą: „Przytulisko dla dziatwy szkólnéj.“

Błogą działalność tegoż „Przytuliska“, w którem dotąd doznało schronienia i opieki 70 przeszło dzieci, utrudnia szczupłość dochodów, niewystarczających na udzielanie dziatwie skromnego posiłku i opłacanie dozorczyń.

Nie wątpimy, że cel tak wzniosły

i szlachetny, jakim jest oddziaływanie na hygieniczne i moralne wychowanie biednych dzieci, znajdzie należyty oddźwięk w szerokich kołach obywatelstwa naszego i ponawiamy gorącą prośbę o łaskawe zapisywanie się na członków i nadsyłanie składek na ręce niżej podpisanego komitetu.

Aniela Tułodziecka, przewodnicząca. Strzelecka 2.
Zofia Stasińska, sekretarka. Plac Piotra 4.
Halina Łebińska, zastęp. sekretarki. W. Garbary 50.
Zofia Mizerska, skarbniczka. Seminaryjna 1.
Mec. B. Chrzanowski, kurator. Wilhelmowska ul. 1.

Ustawy Towarzystwa.

§ 1. Celem Towarzystwa jest dostarczać przytulisk dziatwie szkólnej miasta Poznania, nie mającym jasnych i ciepłych izb, w. którychby mogła odrabiać pod odpowiednią opieką zadania szkólne.

§ 2. Członkiem Tow. może zostać każdy, płacący najmniej 1 markę rocznej składki.

§ 3. Zarząd Towarz., składający się z przewodniczącej, jej zastępczyni, sekretarki, jej zastępczyni i skarbniczki, wybiera się co rok na walnem zebraniu, na którem ustępujący zarząd zdaje sprawę z czynności towarzystwa.

Zarządowi służy radą kurator, przezeń wybrany.

§ 4. Każde przytulisko, powierzone osobnej dozorczyni, stósuje się do regulaminu, opracowanego przez zarząd.

Wiadomości.

Wszystkim Czytelnikom, Przyjaciołom i Zwolennikom naszego tygodnika składamy najserdeczniejsze podziękowanie za nadesłane nam tak liczne dowody współczucia z powodu uwięzienia naszego redaktora, p. W. Siemiątkowskiego.

Również dziękujemy wszystkim tym Czytelnikom najserdeczniej, którzy nadesłali nam adresy osób, mogących zaabonować „Pracę“, oraz tym Czytelnikom, którzy nam nadesłali brakujące do skompletowania kwartalników „Pracy“ numery.

Redakcya „Pracy.“

W celu przygotowania specyalnego numeru poświęconego Polakom w Niemczech Redakcya „Pracy“ uprzejmie prosi o podanie przynajmniej adresów i nazw towarzystw polskich, abyśmy je wszystkie wymienić mogli.

Do skompletowania kwartalników potrzebne nam są Nr. 43 i 44 „Pracy“ z r. b. Prosimy Szan. Czytelników o łaskawe nadesłanie nam takowych, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

W Sremie odbył się wiec polski, na który się zebrało bardzo wiele ludzi. Wiec zagaił i cel jego wyłuszczył ks. dziekan Antoniewicz, który zarazem na marszałka zaproponował posła p. Głębockiego, na wicemarszałka zaś p. Skrzydlewskiego z Mechlina. Pierwszy zabrał głos przewodniczący, przypominając na wstępie przyrzeczenia królów pruskich, dotyczące uszanowania naszego języka polskiego. Następnie skrytykowawszy rozporządzenia antypolskie, zachęcał rodziców, by w domu uczyli dzieci polskiego języka. Mowę p. Głębockiego przyjęto hucznemi oklaskami. Następnie przemawiał ks. prob. Wiśniewski z Książa. Mowę jego przerywano kilkakrotnie długiemi oklaskami. Zachęcał on rodziców do polskiego wychowywania dzieci swoich. W końcu przemawiało jeszcze kilku innych mówców. — Wysłano telegram do Ojca św., a do Najprzewielebniejszego księdza Arcybiskupa adres. W powziętych rezolucyach wyrażono protest przeciw usuwaniu języka polskiego ze szkół, przeciw krzywieniu religijnego wychowania dzieci, przeciw ukróceniu praw przynależnych władzy duchownej; dalsze uchwały dotyczyły szerzenia elementarzy polskich i obrony języka polskiego. — Piękny wiec śremski wszystkim na długo pozostanie w pamięci.

Kończymy dzisiaj na tej krótkiej notatce dla braku miejsca.

Z teatru. W sobotę dnia 10-go b. m. wystawioną będzie po raz pierwszy sensacyjna i głośna sztuka Aleksandra Dumasa (syna) p. t. „Sprawa Clemençeau“ i **to na benefis p. Broccard.**

Utwór ten z chwilą pojawienia się zyskał sławę wszechświatową i grywanym bywa na wszystkich większych scenach z wielkiem powodzeniem.

W niedzielę dnia 11-go b. m. wieczorem ostatni pożegnalny występ artystki warszawskiej, panny Broccard.

Odegraną będzie po raz drugi „Sprawa Clemençeau.“ Abonament uchylony.

W niedzielę po południu o godzinie 3-ciej po cenach do połowy zniżonych: „Karpaccy Górale“, dramat w 9 obrazach J. Korzeniowskiego.

Na fundusz imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu pp. Cygan Grodziski z Metzu 2 mrk., Karol Kandziora z Chełmży, Pr. Zachodnie, 50 fen., K. Zboralski z K. p. K. 15 mrk., Franciszek Woźniak z Poznania 30 fen., Polskie Towarzystwo Rzemieślników z Zielonej Góry na G. Śląsku 10 mrk., Fr. Rostkowski z Marxloh 1 mrk. (w znaczkach pocztowych), Towarzystwo Stella w Berlinie 5 mrk., uczniowie szkoły technicznej w Ilmenau 6 mrk. 50 fen., Polacy z Griesheim nad Menem 2 mrk. 30 fen. w znaczkach pocztowych.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 196 mrk. 26 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 124 mrk. 52 fen., pozostało zatem u nas 71 mrk. 74 fen.

Na fundusz jubileuszowy Józefa Chociszewskiego złożyli w dalszym ciągu: Towarzystwo przemysłowe w Wolsztynie 7 m. 15 fen. Razem dotąd złożono na ten cel 159 m. 58 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze nadesłali w dalszym ciągu pp. H. Krzemiński z Buku 3 m. Antoni Dale z Buku 1 m. Jasiński z Bydgoszczy 3 m. Razem dotąd złożono na ten cel 151 m. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Dowiadujemy się, że na dochód „Przytuliska dla dziatwy szkolnej“ wygłosi odczyt 14 b. m. wybitna pracowniczka na polu historyi, p. Marya z Łussakowskich Gerżabkowa z Tarnowa. Wieczór ten z współudziałem amatorów urozmaicony będzie muzyką, deklamacyą i śpiewem.

Młodzieńcom z odpowiedniem wykształceniem i dobrem wychowaniem, mającym zamiar wyuczyć się kupiectwa (w handlu kolonialnym), lub też księgarstwa, dalej drukarstwa, cukiernictwa, stolarstwa, blachnierstwa, siodlarstwa, szewctwa albo krawiectwa, wskaże stósowne miejsca, za przedłożeniem świadectw

Biuro pośredniczenia dla przemysłu i handlu. (Wydział Tow. Przemysłowego w Poznaniu).

Poznań, Wrocławska ul. 13, w handlu p. K. Kużaja.

Wieczór ku czci ks. Stanisława Konarskiego, którego dwóchsetna rocznica urodzin przypadła w tym roku, (patrz nr. 41-y „Pracy“) odbył się staraniem Czytelni dla kobiet w ubiegłą niedzielę na sali Domu katolickiego, która była wypełnioną po brzegi, a okazała się jeszcze za szczupłą. Piękny, popularny odczyt o Konarskim wygłosiła p. Janina Omańkowska, którą oklaskami powitano, a gdy

skończyła, zatrzęsła się cała sala od oklasków. Resztę wieczoru wypełniły śpiewy żeńskie pod batutą p. dyrektora Dembińskiego, również hucznemi oklaskami nagrodzone. Publiczność opuszczała salę wielce zadowolona i przepełniona wdzięcznością dla Czytelni dla kobiet za urządzenie tak pięknego wieczoru.

Slub redaktora „Lecha“, „Pałuczanina“ i „Gazety Bydgoskiej“ p. Piotra Palińskiego z p. Witosławą Czarnecką z Gniezna odbył się dnia 6 b. m. w kościele św. Trójcy w Gnieźnie.

Szczęść Boże nowożeńcom!

Dnia 24 z. m. pobłogosławił w Ostrowie ks. proboszcz Smigielski związek małżeński pomiędzy kupcem, p. Hugonem Lechnerem a panią Teofilą Wentzel z Krotoszyna.

Szczęść Boże młodej parze!

Na reumatyzm jest najlepszym, najskuteczniejszym środkiem premiowane nacieranie d-ra Koszutskiego „Salus.“ Bliższe szczegóły podaje stale zamieszczany anons, na który zwracamy baczną uwagę wszystkim cierpiącym na reumatyzm.

Magazyn renomowany ubiorków dla dzieci pani F. Kutznerowej znajduje się teraz przy ulicy Bismarka nr. 2-gi parter. W magazynie przyjmuje się także sukienki i ubrania dla chłopców w robotę.

Wszelki nabiał, oraz smalec, szynki, kiszki itp. poleca po tanich cenach, podanych w odnośnem ogłoszeniu, skład masła p. Fr. Jaworskiego przy ulicy Szerokiej 16/17 przy moście Chwaliszewskim.

Na zakład dentystyczny p. S. K. Grabowskiego przy ulicy Wielkie Garbary 18 i narożniku ulicy Butelskiej zwracamy uwagę publiczności (patrz ogłoszenie).

Handel kolonialny i destylacyą, oraz winiarnią i piwiarnią p. A. Siwińskiego na Chwaliszewie nr. 57 polecamy względom szanownych Czytelników.

Najtańsze książki dla dzieci z kolorowanemi obrazkami poleca w wielkim wyborze już począwszy od 10 fenygów księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu i wysyła na żądanie katalog darmo i franco. Na odnośny inserat zwracamy baczną uwagę szan. Czytelnikom. Wobec wyrugowania ze szkoły polskiego pacierza i mowy polskiej powinny się znajdować w każdym polskim domu książki polskie dla dzieci.

Bank Związku Spółek Zarobkowych przyjmuje depozyta i płaci 4 do $4^3/_4$ %. Poleca także swe konto czekowe (patrz anons).

Strzelno. Chór śpiewu kościelnego w Strzelnie urządza w przyszłą niedzielę, tj. dn. 11. bm. teatr amatorski na sali p. Medo, na którym odegrane będą: „Papugi naszej babuni“ operetka w jednym akcie z francuzkiego, muzyka Listowskiego oraz „Bursztyny Kasi“, obraz ludowy w trzech odsłonach przez Halinę z muzyką, śpiewami i tańcami. Po przedstawieniu zabawa. Dochód przeznacza się na fundacyą figury św. Wojciecha. O jak najliczniejszy udział uprasza

Chór śpiewu kościelnego
Ekiert, dyrygent.

Gostyń. Koło Śpiewackie urządza w niedzielę d. 11 bm. na sali w strzelnicy, teatr amatorski, połączony ze śpiewami chóralnemi i solowemi. Bliższych wiadomości udzielą afisze. Komitet.

Kępno. Czołem! Nadzwyczajne zebranie Towarzystwa gimn. „Sokół“ w Kępnie odbędzie się w niedzielę d. 11 listopada r. b. o godzinie 4 po południu w lokalu zwykłych zebrań druha Staszaka.

Na porządku obrad ważne sprawy.

O liczny i punktualny udział w zebraniu uprasza Wydział.

Berlin. Pismo pod tytułem „Przewodnik zdrowia“ (A. Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32) podaje bardzo cenne artykuły, jak pielęgnować zdrowie i strzedz się chorób. Pismo to kosztuje 50 fen. na kwartał i powinno znajdować się w każdej rodzinie. „Przewodnik zdrowia“ nr. 10 zawiera: Rozmyślania pozjazdowe przed d-ra S. Kurkiewicza (Kraków), — Umysłowy wysiłek przyczyną chorób nerwowych przez prof. Krafft-Ebinga. — Rozmaitości.

Charlottenburg. Rodak nasz, p. Leon Kantak, złożył przy tutejszej politechnice z odznaczeniem egzamin inżynierski.

Hildesheim. Polskie Towarzystwo pod wezwaniem św. Bernarda, urządziło w ubiegłą niedzielę teatr amatorski. Grane były dwie sztuczki i to „Chwała Boża i łaska królewska“ i „Ogolili go bez mydła.“ Przedstawienie wypadło jak na siły robotnicze nadspodziewanie dobrze. Cześć całemu Towarzystwu, a przedewszystkiem ich zacnemu przewodniczącemu, p. Piotrowi Wróblowi i amatorom pp. Rossakowi, Szymanowskiemu, Kowalskiemu, Michalakowi, Szcześniakowi, Kręcińskiemu, którzy, mimo całodziennej ciężkiej pracy fabrycznej zajęli się tem przedstawieniem.

Blumenthal w Hanowerskiem. Sprawozdanie półroczne z czynności Towarzystwa polsko-katolickiego „Sobieski“ w Blumenthalu za czas od dnia 22 kwietnia aż do dnia 21 października r. 1900. Po zagajeniu i odśpiewaniu Hymnu Narodowego zdał Zarząd sprawę z czynności z ubiegłego półrocza. Posiedzeń odbyło Tow. w ubiegłem półroczu 12, t. j. 10 zwyczajnych posiedzeń i 2 nadzwyczajne czyli walne zebrania, na których przewodniczył szanowny pan prezes, Fr. Biedowicz; wszelkie posiedzenia rozpoczynano Hymnem Narodowym a kończono słowy: Szczęść Boże. Na posiedzeniach załatwiano sprawy towarzyskie, ściągano składki miesięczne, czytano sprawozdania, Ewangelie ś. i ustępy Żywotów św. Pańskich. Została zakupiona jedna msza św. za Jana III, w której całe Towarzystwo udział brało. Tow. urządziło jednę zabawę, która się odbyła na sali posiedzeń i jednę wycieczkę majową na wozach do wsi Schönebek. Na początku ubiegłego półrocza liczyło Tow. 63 członków, lecz dla zmiany pracy 23 wystąpiło, 8 wyjechało w rodzinne strony, pozostaje jeszcze 32 członków. Tow. posiada chorągiew z przyborami, oraz wszelkie sprzęty towarzyskie, bibliotekę składającą się z 98 książek, które są własnością Towarzystwa i jednę dużą książkę Żywoty św. Pańskich, 3 duże obrazy, także własną muzykę t. j. bęben i dwa flety. Tow. abonuje gazety polskie t.j. „Pracę“, „Wielkopolanina“ i „Wiarusa Polskiego.“ Abonuje także „Czytelnią Polską.“ Majątku pieniężnego posiada Tow. 134 m. 47 fen. W zarząd wchodzą następujący członkowie: przewodniczący W. Hadrian, zastępca Fr. Biedowicz, sekretarz Fr. Małuszek, zast. Adolf Ląg, kasyer Ig. Szymański, zast. Jac. Waldowski, bibliotekarz Br. Machnik, zast. Al. Prokop. Rewizorzy kasy: A. Bigdowski i J. Winiewicz, chorąży J. Kraska, asystenci M. Konieczny i S. Dorożalski, zast. chorążego T. Kubik.

Towarz. Polskie „Sobieski“ w Blumenthalu.
W. Hadrian, prezes. Fr. Małuszek, sekretarz.

Listy tyczące się Tow. prosimy adresować do lokalu posiedzeń Tow. Polsko-Kat. „Sobieski w Blumenthalu Hotel Union.

Zmarli.

Umarł przedwczesną śmiercią znany i szanowany ogólnie w mieście naszem, sekretarz przy rejencyi tutejszej śp. Kaźmierz Siemianowski w wieku zaledwie 40 lat. Zmarły pracował długie lata w rejencyi i redagował organ urzędowy tejże rejencyi, której służył za tłomacza w sprawach polskich. Na trudnem swem dla Polaka stanowisku umiał zachować godność swoją i zdobyć sobie szacunek u niemieckich przełożonych, jak nie mniej w bliżej go znających kołach rodaków.

Od dłuższego czasu cierpiał na chorobę nerkową. Aby się z niej wyleczyć, udał się do Berlina, do specyalisty i poddał się operacyi, która się jednak nie udała i przyspieszyła jego śmierć. Zmarły pozostawił po sobie żonę, córkę głośnego w Polsce malarza i miłośnika Tatr, Walerego Eljasza i kilkoro dzieci. Strapionej żonie i rodzinie zmarłego wyrażamy szczere współczucie. R. i. p.

Od Redakcyi.

Panu Bolesławowi M. w Sz. Takich książek nie posiadamy.

Panu Stanisławowi R. w Nowem. (Pr. Zach.) W księgarni Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Panu Zygmuntowi T. Najuprzejmiej dziękujemy — zamieszczamy.

Komitetowi na obczyźnie ku uczczeniu setnej roczniey urodzin Karola Marcinkowskiego. Dziwnym zbiegiem okoliczności notatka doszła nas za późno, więc bardzo przepraszamy, żeśmy jej nie mogli zamieścić *post festum.*

M. M. w Br. „Lirnik“ wydany przez Fr. Chociszewskiego. Nabyć można w księgarni N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu.

F. K. w Gdańsku. Już dawno nie istnieje i nawet nie masz po niej śladu.

P. Ziemiętniewicz prosi nas o pieśń, której ustęp brzmi:

„Kochaj, o Bracie, Twą Ojczyznę świętą,
Krainę ojców, ich krwią przesiąkniętą,
Bo w niej każda garstka ziemi zlana
Dziadów i pradziadów łzami krwawemi.“

Może który z Czytelników zna cały tekst, to prosimy o nadesłanie.

Jelita. Dlaczego bez podpisu, przyznajemy racyą. Odpowiedź Pan znajdzie w artykule „*Dziennik Berliński.*“

Pani Niz. Z przyjemnością umieścimy i części.

Panu Pawłowi Ad. w J. (Górny Slązk). U Fr. Chocieszyńskiego (drukarnia) w Poznaniu, ulica Wodna.

B. I. w Wolsztynie. Za wyrazy współczucia z powodu uwięzienia naszego redaktora, pana Siemiątkowskiego, dziękujemy najserdeczniej. „Pracę“ oddajemy poczcie tutajszej najpóźniej w piątek, tak iż w okolicach najodleglejszych nawet każdy Czytelnik „Pracę“ już w niedzielę rano otrzymać powinien; na stacyach bliższych otrzymują Czytelnicy „Pracę“ już w sobotę rano.

Panu Feliksowi L. w L. Wiersz p. t. „Jesień“ nie nadaje się do druku.

Bernburg (Anhalt) p. Spychalski i Langerfeld p. Pohl. Niech Panowie będą łaskawi podać swoje adresy drowi K. Rakowskiemu we Lwowie, (Pełczyńska 1, Towarzystwo Wydawnicze), który chce zasięgnąć od Panów szczegółowych wiadomości o tamtejszych towarzystwach polskich.

Czytelników naszych w Dellwig (Nadrenia) prosimy o wiadomość o tamtejszem towarzystwie polskiem.

P. *Kwaśniewskiego, Höntrop (Westfalia)* prosimy o informacyą o tamtejszem towarzystwie polskiem.

Czytelników „Pracy“ z Blumenthal (Hanower) prosimy o podanie adresów czterech tam istniejących towarzystw polskich.

HUMORYSTYKA.

CZTERY PORY.

Wpadał mi w uszy wiatru poświstem,
Stawał przed oczy widziadłem mglistem,
Szemrał w mych skroniach złotem ma-
[rzeniem
Z piersi ulatał lekkiem westchnieniem,
Drażnił mi nozdrza czarowną wonią,
Gładził me czoło pieszczoną dłonią,
Igrał w mem sercu żądzą miłosną,
Kim był? — pytacie — Majem był!
[— wiosną...

Przerażał słuch mój grzmotów łoskotem
I wzrok oślepiał błysków migotem,
Mózg mi nadmiernym żarem wysuszał,
Ospałem sercem ledwo że wzruszał...
I powonienie we mnie przytępił,
Czoło zlał potem, włosy nastrzępił,
Bez czucia — starym zrobił mnie gratem:
— Kim był ten znowu? Lipcem był —
[latem.

Dżdżów monotonnym kołysał szmerem,
Nie grzał, a budził światłem nieszczerem,
W głowie nieznane obawy wskrzesał
I wyschłe serce strachem pomieszał.
Zapachem płodów świeżych mię łudził
I przestarzałą pieszczotą nudził,
W pierś żądło z wspomnień zapuszczał
[jadem.
— Kim był? — jesienią! — był Listo
[padem.

Ostatni ciszą uśpił tajemną,
Biały kobierzec usłał podemną,
Głowę mi w szronów ubrał koronę
A na pierś puchy rzucił srebrzone, —
Jak kwitł bez woni — zgniótł bez dot-
[knięcia
Wilk utajony w skórze jagnięcia...
Ściął krew, a kości ścisnął powrozem
— Kim był? — nie pomnę — zimą był?
— [mrozem.
A. W.

* * *

Krakowiak chińsko-niemiecki.

Pytał mi się Grzela,
Niby z polityki:
Co to jest za naród
Jakoweś Chińczyki?

Na pewno tak nie wiem,
Ale mi się widzi,
Że nie katoliki
Francuzy, ni żydzi, —

Jeno jakieś *niemce*
W innej świata części,
Bo się po niemiecku
Zabrali do pięści.

* * *

W kwestyi damskiej.

Pytał głupi mądrego (i tacy głos mają),
Kiedy kobiety najmniej pudru używają?
Więc rzekł mądry, po rozum do głowy
[powiódłszy!
„W lutym, głupcze, bo miesiąc to w roku
[najkrótszy.“

* * *

Z rozmowy podlotków.

— Dlaczego ty zawsze bierzesz pieska ze sobą?

— Ach ty tego nie rozumiesz. Widzisz, tym sposobem ma się zawsze pretekst do oglądania się, jeżeli się czuje, że się jest czyimś wzrokiem ściganym..

* * *

Także.

— Cicho Ludwiczku... nie płacz! Mamusię bolał ząb i poszła go dać wyrwać.

— To niechby i mnie była wzięła... mnie tak brzuch boli — a nikt go nie wyrwie! Uuu!

* * *

— Nie boisz się Janklu jeździć koleją?

— Jeździć, to ja się trochę boję, ale wziąść wielkie odszkodowanie za małe przetrącenie, to jabym się wcale nie bał.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Dla fabrykantów maszyn i powozów, dla mistrzów kowalskich i ślósarskich

polecają ze swego bogato zaopatrzonego składu: **wiercarnie, tokarnie, miechy kowalskie, kowadła, śrubsztaki, maszyny do gięcia obręczy, maszyny do skrócania żelaza** (Stauchmaschinen) i wszelkie narzędzia i artykuły w zakres powyższych rzemiosł i zakładów przemysłowych wchodzące 433

Pleszewska fabryka maszyn W. Jezierski i Sp.

Wielki skład śrub, stali, części do pługów, kós do sieczkarń i części do wszelkich maszyn rolniczych. Zamówienia uskutecznia się odwrotnie.

Bank
Związku Spółek Zarobkowych

przyjmuje depozyta i płaci 588

4 do $4\frac{3}{4}$ %

obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy. Wysokość stopy procentowej zależy od długości wypowiedzenia. Od kapitałów większych, płatnych każdego czasu, oblicza 1% niżej każdorazowego dyskonta Banku Rzeszy.

Poleca także swe konto **czekowe.**



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen

wie:
Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Uebertäurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder- — **Schecken,**

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,
wie der:
Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und **Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.

Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

Fabryka wyrobów cementowych
K. Stabrowski, budowniczy,
Nakło.

poleca zaopatrzony skład:

Rury cementowe do przepustów i kanalizacyi.
Pierścienie do studzien i baseni.
Dachówkę dwuzakładową patentowaną i **gąsiory.**
Koryta dla koni, bydła i trzody chlewnej.
Płyty na chodniki i posadzki w naturalnym i deseniowym kolorze.
Podkłady i filary do krat żelaznych etc.

Jako i wszelkie w zakres budowy wchodzące roboty betonowe. 221

Skład najlepszego Portlandzkiego cementu.

Wozy robocze
i koła do wozów

ma zawsze w zapasie i odstawia takowe tylko z suchego drzewa, dobrze odrobione i po umiark. cenie.

Głogowska parowa fabryka stelmachska.

Bredner i Okoniewski,
dawniej **R. Kraus.**

Moją

posiadłość

obejmującą 7 mórg, z obszernym murowanym domem i wszelkiemi dogodnościami zamierzam natychmiast sprzedać. Bliższe szczegóły przyjmuje. 661

J. Berthold,
Rawicz, Masłowo
(Rawitsch, Massel, Pr. Posen.)



Kamienica

w powiatowem mieście w której jest prowadzony wyszynk wódek jest od zaraz do kupienia, tak samo jest od zaraz do nabycia 643 **handel kolonialny** pod bardzo dogodnemi warunkami. Zgłoszenia przyjmuje Ekspedycya „Pracy“ pod lit. L. Nr. 643.

Znajdą miejsca:

Nauczyciel domowy do trzech chłopców, najstarszy ma 8 lat, — **Nauczycielki** egz. muzykalnej, jeżeli mówi dobrze po francuzku 900 mk. jeżeli nie to 600—700 mk. **Nauczycielki** nieegz., lub **Bony** 1-szej klasy mówiącej *dobrze* po niemiecku na 300 do 360 mk. **Bony** do Łodzi na 120 rubli na rok. **Osoby** przyzwoitej do Królestwa mówiącej po niemiecku, znającej krawiecczyznę, krój bielizny i mogącej zajmować się gospodarstwem 645

A. Koczorowska
Nauczycielka, Strzelecka 3 B.

Nauczycielka

znajdzie miejsce od zaraz do 3 dziewcząt. Zgłoszenia z warunkami prosze do Eksp. „Pracy“ pod lit. S. Nr. 657. 657

Parcelacya.

W czwartek, dnia **15 listopada r. b.** od godziny 10 przed południem począwszy, odbędzie się na miejscu parcelacya

450 mórg przeważnie pszennej ziemi,
250 mórg dobrych łąk z pokładem torfu

z folwarku **Skorzencina** pod Witkowem (stacya kolei). 641

Rola w większej części obsiana. Do nabycia są także 3 stodoły, 1 sześciorak i obora.

Szkoła w miejscu, do kościoła $\frac{1}{2}$ mili.

Warunki kupna bardzo dogodne.

Spółka Rolników parcelacyjna,
Poznań,
Podgórna ul. nr. 10a, parter.

Parcelacya.

W poniedziałek dnia 12 Listopada od godziny 9-tej z rana począwszy, sprzedam na miejscu w Nagórniku pod Niestronnem posiadłość Nagórnik nr. 1. w całości lub parcelach.

Wodny młyn, 170 mórg roli z łąkami, 2 podwórza z zabudowaniami, kompletny inwentarz, żniwo i zasiew zimowy. Młyn ma przeszło 20 własnych źródeł, które dostarczają latem i zimą dostatecznie wody. Reflektanci mogą sobie posiadłość każdego czasu obejrzeć i ze mną przed terminem kontrakta zawierać. 655

Józef Stark — *Mogilno.*

Parcelacya.

W Środę dnia 14 Listopada r. b. o godzinie 9-tej przed południem parcelować będę w oberży w Mięcierzynie pod Gościeszynem, powiat Żniński folwark pana Weidemanna, około 400 mórg dobrej ziemi, włącznie 80 mórg łąk. 4 podwórza z zabudowaniami, żywy i martwy inwentarz, zasoby i

oberża 659

także będą sprzedane.

Reflektanci mogą sobie posiadłość każdego czasu obejrzeć i ze mną i przed terminem kontrakta zawierać.

Józef Stark — Mogilno.

Biuro Architektoniczno-Budowlane
w Poznaniu, Piekary 5.

Specyalnością biura są następujące działy:

1. Sporządzanie projektów na budowle wszelkiego rodzaju i dozór techniczny nad robotami budowlanemi. 554
2. Przedsiębiorstwo robót budowlanych.

St. Mieczkowski

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne
J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,
Fryderykowska 78.
(Właśc. firmy: **A. Mühle i W. Ziołecki.**)

Fabryka i skład powozów
A. Dzieciuchowicz,
Poznań,
ulica Wrocławska Nr. 15

poleca powozy wszelkiej konstrukcyi. Zamówienia oraz wszelkie reparacye w zakres ten wchodzące, uskutecznia w krótkim czasie przy dogodnych warunkach. 553



Do kalendarza należą trzy dodatki: Piękny obrazek kolorowy, kalendarz ścienny i kalendarz kieszonkowy.

Cena kalendarza „Katolika" 50 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w ekspedycyi „Katolika" w Bytomiu G.-Ś.

Na sezon jesienno-zimowy nadeszły i polecam

peleryny, kabaty, płaszcze watowane, kabatki dla panienek, płaszczyki dziecinne,

wszystko w wielkim wyborze w eleganckich fasonach. 536

Również zwracam uwagę na mój bogato zaopatrzony **skład kapeluszy damskich i dziecinnych,** które podług najnowszych modeli kopiowane są.

Wszystko w wielkim wyborze, ceny jak najtańsze. Zeszłoroczne kapelusze przerabiam tanio i gustownie.

A. Depczyńska,

Skład płaszczy i kapeluszy damskich,

Jezuicka ulica nr. 12.

Najtańsze

Książki dla dziatwy z kolorowemi obrazkami i udatnemi wierszykami, w pięknych barwnych okładkach: **Po 10 f.** Bazar, Czary, Dziwy, Dźwięki, Koncert, Panorama, Róg obfitości, Szczebiotki. — Marsz*, Pląsy*. — **Po 25 f.** Baczność, Bławatek, Czołem, Dobosz, Fiołki, Hop, hop!, Kalejdoskop, Kołysanka, Niezabudka, Pierwiosnek, Różyczki, Śnieżki, Śpioszek, Trójlistek, Trzewiczek. — **Po 50 f.** Dla malutkich, Wiosenne kwiecie, Podwórze*. — **Po 75 f.** Koniczynka, Kopciuszek, Kotki, Wakacye, W cieniu. — **Po 1 mk.** Biesiada (gruby karton). — **Po 1,25 mr.** Filutki, Fraszki. — **Po 1,50 mr.** A bodaj was! (10 kotków). Bębenek. — **Po 2,50 mr.** Królestwo zwierząt. — **Po 3 mr.** Cuda, Naszym pieszczotkom. Ogółem **41** różnych wysyła za nadesłaniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko. Na koszta przesyłki dołączyć należy 10 fen. do każdej marki.

Dembiński B. Msza pasterska,

osnuta na tle melodyi kolendowych polskich, opracowana stylowo na postawie tekstów liturgicznych na chór 4 głosowy mięszany z organami, partytura 4 m., głosy 2,50 m.

*) bez tekstu. 652

A. Cybulski, księgarnia, Poznań.

Obuwie

w najróżniejszych gatunkach od najprostszego do najwytworniejszego, z skóry, filcu i sukna,

kalosze

ruskie i niemieckie poleca

W. Skórnicki

Poznań, St. Rynek 46.

Ceny

jak ogólnie znane,

bardzo nizkie ale stałe.

Usługa rzetelna.

Sprzedaż tylko za gotówkę.



M. Skowroński,

długoletni przykrawacz pierwszorzędnych firm

Poznań, ul. Wilhelmowska Nr. 13

(Hotel Francuzki)

poleca swój 634

Magazyn i pracownią modnej garderoby męzkiej

jako też wielki wybór materyi krajowych i zagranicznych, Szanownej Publiczności jak i Przewielebnemu Duchowieństwu pod gwarancyą.

Wszelkie zamówienia wykonuję podług najnowszych żurnali po cenach nader przystępnych. Wykonanie gustowne. Usługa skora i rzetelna.

Żarty wyprasza się!

Kawaler, Polak, 24 lat liczący, katolik, prowadzący korzystny interes na Górnym Śląsku pragnący się ożenić z Polką, szuka na tej drodze dla braku znajomości pań

towarzyszki życia.

Łaskawe rodaczki, w wieku 18 do 22 lat, posiadające 3—5000 marek majątku, mające chęć reflektować na niniejsze ogłoszenie, niech z całem zaufaniem raczą nadesłać w ciągu 14 dni łaskawe oferty wraz z fotografią, która zostanie zwróconą p. lit. M. J. 653 do Eksp. „Pracy". 653

Za ścisłą dyskrecyą ręczy się honorem.

Kupiec, kawaler w 27 roku życia, przystojny i pracowity, posiadający w powiatowem mieście dobrze prosperujący, handel korzenny, jako też własną kamienicę, szuka dla braku znajomości pań, na tej drodze 725

towarzyszki życia.

Panny w wieku 17-tym do 22-go r., skromnie wychowane, posiadające 5 do 6000 mk. zechcą z zaufaniem oferty swe z dołączeniem fotografii, które na żądanie będą zwrócone, przysłać do „Pracy" pod lit. B. N. 625.

Anonimy wyprasza się. Dyskrecya rzecz honorowa.

Materyały piśmienne

poleca

hurtownie i detalicznie

Skład papieru i materyałów piśmiennych

„Atlas"

W. Kostrzewski,

Poznań, Stary Rynek nr. 48. 57

Warsztat i skład obuwia

dla panów, pań i dzieci

Karola Ptschyody,

mistrza szewskiego

Gniezno, ul. Wilhelmowska nr. 14.

Wielki wybór

obuwia sezonowego

wszelkiego rodzaju.

Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.